

Stanisław Stratijew

Autobus

Stanisław Stratijew

Autobus

Przełożyła Hanna Karpińska

[www.stanislawstratiev.org](http://www.stanislawstratiev.org)

Autobus

© Stanislav Stratiev, 1980

© Hanna Karpińska, 1984

© Aeolus Project, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być wykorzystywana, powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

OSOBY

ROZSĄDNY

NIEROZSĄDNY

WIRTUOZ

ZAKOCHANY

ZAKOCHANA

NIEODPOWIEDZIALNY

MĘŻCZYZNA

KOBIETA

PANCZAREWO

## AKT PIERWSZY

*Stary i odrapany autobus stoi na pętli. Jest pusty. Jesień. Zapada zmrok. Wiatr przywiewa żółte liście i sypie je pod koła. Przez pewien czas wokół nie ma nikogo. Tylko jesienny wiatr goni liście. Lecz oto zjawia się pierwszy pasażer. Jest to Rozsądny. Ma około, czy może nawet ponad pięćdziesiąt lat, jest elegancko ubrany. Niesie wypchaną skórzaną teczkę w dobrym gatunku. Lustruje pusty autobus, szuka miejsca. Wreszcie zatrzymuje się przy drugim siedzeniu, kładzie teczkę i chusteczką długo wyciera siedzenie. Potem siada, wyciąga z kieszeni gazetę, rozkłada ją i zaczyna czytać. Nagle zdecydowanym ruchem składa gazetę, wstaje i siada na trzecim siedzeniu przeciwległego rzędu. Siedzi tam przez pewien czas, spogląda na wywietrzniki w dachu autobusu, jeszcze trochę siedzi, po chwili jednak wraca na poprzednie miejsce, rozkłada znowu gazetę, czyta.*

PANCZAREWO: Dobry wieczór!

*Drugim pasażerem, który się pojawia w autobusie, jest Panczarewo, człowiek nieco starszy od Rozsądnego, około sześćdziesięcioletni, najwyraźniej z którejś z podsofijskich wsi, z wypełnionym czymś workiem. Panczarewo rozgląda się i zwala worek obok siedzenia, siada w tyle przy przejściu. Poprawia worek, wyciera pot z czoła, długo szuka po kieszeniach, wyciąga bilet i kasuje go. Potem siada obok worka.*

ROZSĄDNY: Za worek też należy uiścić!

PANCZAREWO: (nie rozumie) Że jak?

ROZSĄDNY: Mówię, że trzeba skasować jeszcze jeden bilet za worek.

PANCZAREWO: A to dlaczego?

ROZSĄDNY: Dlatego, że to jest bagaż.

PANCZAREWO: (*zdumiony*) Niby ten worek?

ROZSĄDNY: Niby ten worek.

PANCZAREWO: Jaki bagaż, zwyczajny podarty worek. Żeby to była walizka albo jeszcze coś takiego... z jakiegoś skaju czy czegoś – to czemu nie. Ale to... (*macha lekceważąco ręką*)

ROZSĄDNY: (*wciąż nie odrywając wzroku od gazety*) Jak przyjdzie konduktor i każe zapłacić osiem lewów kary, to zobaczymy, czy to jest bagaż czy nie.

PANCZAREWO: Pierwsze słyszę, żeby worek to był bagaż.

ROZSĄDNY: Wszyscy dobrze wiedzą, że worek to bagaż, ale już taki z nas naród. Każdy tylko patrzy, jakby tu to biedne państwo okantować i coś na tym zyskać.

PANCZAREWO: (*wstaje i kasuje drugi bilet mrużąc*) Widzicie go, będzie mi tu opowiadał o narodzie. Naród im winien. Jakbyśmy to tylko my byli narodem, a oni nie. (*znów siada obok worka*)

*Cisza. Rozsądny czyta gazetę, Panczarewo siedzi obrażony przy swoim worku. Od drzwi rozlega się śmiech, Zakochani objąwszy się próbują wejść oboje naraz. Drzwi są wąskie, więc idzie im to trudno, ale nie ustępują, wreszcie wchodzi. Idą na sam tył autobusu, siadają i opuszczają sobie kołnierze: on jej prochowca, ona jego kurtki. Potem ona z powrotem podnosi mu kołnierz.*

ZAKOCHANA: Tak ci jest bardziej do twarzy.

ZAKOCHANY: Tobie też. (*podnosi jej kołnierz*)

ZAKOCHANA: Mnie – nie. (*opuszcza sobie kołnierz*)

*Zakochany obejmuje ją przez ramię i zaczyna jej coś szeptać do ucha. Jednocześnie w autobusie jawia się Nierozsądny. Ma trzydzieści pięć-czterdzieści lat, trzyma bochenek chleba i zniszczoną skórzaną teczkę, z tych, jakie noszą technicy. Kasuje bilet i siada w środku, przy oknie. Po nim w*

*drzwiach pojawia się czarne pudło wiolonczeli. Ostrożnie podtrzymuje je czyjaś ręka. Wreszcie pojawia się właściciel ręki – Wirtuoz, mężczyzna w średnim wieku, w okularach i ze stale opadającymi na czoło włosami. Ogląda wyniośle autobus, waha się, gdzie usiąść – z przodu czy z tyłu. Potem ostrożnie niesie wiolonczelę na przód autobusu. Tam, z lewej strony jest pusto. Kładzie najpierw wiolonczelę – delikatnie, czule, jakby układał niemowlę – potem siada sam. I zaraz spogląda na zegarek. Zaczyna odruchowo zginać i odginać palce – ćwiczenie, mające na celu ich wzmocnienie i uelastycznienie.*

PANCZAREWO: A ten czemu nie skasował za basetłę? Przecie to też bagaż!

*Wirtuoz odwraca się i spogląda na niego z milczącą pogardą. Nie zadaje sobie trudu, by odpowiedzieć. Rozsądny dalej czyta gazetę.*

PANCZAREWO: Ja za worek musiałem skasować, a ten za basetłę...

*Nikt mu nie odpowiada. Tymczasem do autobusu wsiada kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, w ładnym prochowcu, starannie uczesana, o inteligentnym wyglądzie. Siada przy oknie, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. W chwilę po niej zjawia się około pięćdziesięcioletni mężczyzna o rozumnej, myślącej twarzy, w modnym płaszczu. Rzuca na pozór niedbale spojrzenie w przód i w tył autobusu, uważnie się wszystkim przygląda i wreszcie podchodzi do kobiety w prochowcu.*

MĘŻCZYŻNA: Przepraszam, to miejsce jest wolne?

KOBIETA: *(nie patrząc na niego, obojętnie)* Tak.

*Mężczyzna siada, stawiając obok siebie na podłodze dużą wypchaną reklamówkę. Wygodnie się opiera i ukradkiem zerka na Kobietę. Ta obojętnie patrzy przed siebie. Mężczyzna przemieszcza wzrok w tym samym kierunku.*

MĘŻCZYŻNA: Nie przeszkadza pani? (*przesuwa torbę*)

KOBIETA: (*oschle*) Ależ skąd.

MĘŻCZYŻNA: Co za dzień, prawda? Nie wiadomo, czy to koniec jesieni, czy początek zimy.

KOBIETA: (*chłodno*) Nie zauważyłam. Pan jest meteorologiem?

MĘŻCZYŻNA: Ależ nie, zwykle nie zwracam na takie rzeczy uwagi, ale tym razem musiałem długo czekać na przystanku. Normalnie to czasem nawet nie wiem, czy jest jesień, czy wiosna!

KOBIETA: To już pana rzecz. (*zaczyna wyglądać przez okno*)

*Do autobusu wsiada zdyszany około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Jest niedbale ubrany, ma pogniecione spodnie i zakurzone buty, jest nieogolony. Niesie siatkę, w której są dwa bochenki chleba, pojemniczek zsiadłego mleka, sałata, pęczek pietruszki i butelka śliwownicy. Jest to Nieodpowiedzialny.*

NIEODPOWIEDZIALNY: No, jednak mi nie uciekł! Autobusów na tej pętli od cholery i ciut-ciut, jeden jedzie tu, drugi tam, jeden do Panczarewa, drugi do Obeli... bądź tu mądry, człowieku! (*kasuje bilet*)

PANCZAREWO: To ten pekaes nie jedzie do Panczarewa?

NIEODPOWIEDZIALNY: Jaki pekaes, przecież widać, że to miejski autobus. Jedzie do śródmieścia.

PANCZAREWO: (*ze złością*) Widać, rzeczywiście. Nigdzie nie pisze – ani na zewnątrz, ani w środku. Niech to diabli, przesiadaj się, człowieku, trzeci raz... (*idąc przez środek autobusu wlecze za sobą worek*) Korona im z głowy spadnie,

jeśli wywieszają tabliczkę. (*przechodząc obok Rozsądnego wpycha mu do kieszeni skasowane bilety*) Naści, na pamiątkę od narodu! (*wysiada*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Nic chłopina nie utargował, wraca z pełnym workiem, to zły i zachciewa mu się jakichś tabliczek. Och, ci prywaciarze!... Codziennie od nowa rodzą kapitalizm. Mam rację? (*bezceremonialnie klepie po ramieniu Wirtuoza*)

*Wirtuoz odwraca się, spogląda na niego z największą pogardą, do jakiej jest zdolny i nic nie mówiąc wraca do poprzedniej pozycji. Nieodpowiedzialny ani trochę się tym nie przejmuje.*

NIEODPOWIEDZIALNY: (*do Rozsądnego*) No, powiedz pan rodzą czy nie rodzą?

ROZSĄDNY: (*nie odrywając wzroku od gazety*) To są elementarne sprawy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Elementarne... Jasne, że rodzą. Widzę przecież, co się wyprawia na bazarze. (*siada, po chwili*) Niedługo pojedziemy?

ROZSĄDNY: (*nie odrywając wzroku od gazety*) Jest rozkład.

NIEODPOWIEDZIALNY: (*sceptycznie*) Jeszcze nie widziałem, żeby autobus jechał według rozkładu. Ten byłby pierwszy. (*rozsłada się wygodnie*)

*Przez pewien czas panuje milczenie. Rozsądny czyta gazetę. Zakochani, objęci, coś do siebie szepczą. Nierozsądny wygląda przez okno. Mężczyzna i Kobieta ostentacyjnie patrzą w różne strony. Wirtuoz nerwowo spogląda na zegarek. Nieodpowiedzialny patrzy na niego i uśmiecha się.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Strasznie pan ma wielkie te skrzypce.

WIRTUOZ: (*odwraca się wyniośle*) Proszę?

NIEODPOWIEDZIALNY: Strasznie pan ma wielkie te skrzypce.

WIRTUOZ: (*z pogardą*) To nie są skrzypce.



NIEODPOWIEDZIALNY: (*zaskoczony*) Naprawdę? Tylko co?

WIRTUOZ: Nie mógłby pan na chwilę umilknąć?

NIEODPOWIEDZIALNY: A co, przeszkadzam?

WIRTUOZ: Drażni mnie pan. (*przesiada się na inne siedzenie*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Nerwy, bracie, nerwy. Największe nieszczęście współczesnego człowieka. To go drażni, tamto go złości i tylko patrzeć, jak wyląduje w wariatkowie. Teraz niby się mówi „na psychiatrii”, ale i tak wiadomo, o co chodzi. Ale nie martw się, bracie, tam też żyją ludzie.

*Wirtuoz widzi, że dyskusja z tym człowiekiem jest poniżej jego poziomu. Wstaje i przechodzi na inne, odleglejsze siedzenie. Pauza.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Oni w takich pudłach transportują dzieci.

ROZSĄDNY: (*podnosi oczy nad gazety*) Jacy „oni”?

NIEODPOWIEDZIALNY: Do każdej roboty można znaleźć ludzi. Potem je sprzedają za granicę. Tam, gdzie mają mały przyrost naturalny.

KOBIETA: Ależ proszę pana!... (*przechodzi ją dreszcz*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Nie wezmą przecież dzieciaka na ręce. Zaraz by wszyscy zobaczyli, że jest uśpiony.

KOBIETA: Och!... (*macha ręką, chcąc odpędzić koszmar*)

*Wirtuoz zachowuje się tak, jakby ta rozmowa go nie dotyczyła, ale jest nerwowy, ciągle patrzy na zegarek, bębni palcami po siedzeniu... Nieodpowiedzialny spogląda na niego.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Im też nie jest tak łatwo. Praca niebezpieczna, nerwy czasem zawodzą... Wszystko ich drażni...

*Spojrzenia wszystkich mimo woli kierują się w stronę Wirtuoza. Ten siedzi dumny i milczący, wyniośle patrząc przed siebie.*

NIEODPOWIEDZIALNY: *(nadsluchuje)* Tak jakbym słyszał płacz dziecka.  
*(znów nadsluchuje)*

ROZSĄDNY: *(odkłada gazetę)* Brednie. *(nadsluchuje)*

NIEODPOWIEDZIALNY: O! Z tego kierunku! *(wskazuje na wiolonczelę)*

*Rozsądny, Kobieta, Mężczyzna i Nieodpowiedzialny z napięciem nadsluchują.  
Nic nie słychać. Na dworze wieje wiatr.*

ROZSĄDNY: To wiatr.

NIEODPOWIEDZIALNY: Może wiatr, a może nie wiatr.

KOBIETA: Czemuż ten autobus nie jedzie!...

NIEODPOWIEDZIALNY: No, bracie, powiedz z ręką na sercu, nie strasz ludzi: co tam masz w środku – dziecko czy skrzypce?

*Wirtuoz spogląda na niego z ledwie hamowaną wściekłością, ale nic nie odpowiada i znów się odwraca do przodu.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Chyba będzie trzeba otworzyć. *(wyciąga rękę do futerału)*

WIRTUOZ: *(wstaje)* Ani mi się ważcie! Nigdy się nie zgodzę na taką profanację instrumentu. Nie jest pan wart nawet jego dziesiątej części.

NIEODPOWIEDZIALNY: Jeśli to skrzypce, to nie ma się czego żołądkować.  
*(znów wyciąga rękę)*

WIRTUOZ: Proszę natychmiast zabrać te brudne paluchy!

NIEODPOWIEDZIALNY: To jakaś nieczysta sprawka.

WIRTUOZ: Dość tych bzdur! Ja na ogół nie korzystam z komunikacji miejskiej, ale w tym rejonie nigdy nie ma taksówek. Czekałem ponad pół godziny. Teraz widzę, że powinienem był czekać drugie pół. Ale niestety mam nagranie. Taki to może na cały miesiąc wyprowadzić człowieka z równowagi. (*przechodzi i siada koło Rozsądnego*)

ROZSĄDNY: A właściwie co panu przeszkadza otworzyć to pudło? Chyba to nie będzie specjalny kłopot.

WIRTUOZ: Pan też myśli, że szmugluję dzieci? Wydawałoby się, że inteligentny człowiek!...

ROZSĄDNY: Rzecz w tym, by uspokoić wzburzone umysły. Oczywiście, że nie wierzę, ale taka drobna kontrola nigdy nie zawadzi.

WIRTUOZ: Nie.

ROZSĄDNY: Czemu się pan upiera? Kontrola jest najwyższą formą zaufania.

WIRTUOZ: To niech pan zdejmie spodnie.

ROZSĄDNY: Co takiego?

WIRTUOZ: Żebyśmy sprawdzili, czy pan jest mężczyzną, czy kobietą. Bo ja odnoszę wrażenie, że pan jest przebraną kobietą.

ROZSĄDNY: Brednie.

WIRTUOZ: Czemu się pan upiera? To tylko drobna kontrola. A przecież kontrola jest najwyższą formą zaufania... Nie chce pan. A czemu ja mam chcieć? Kto pozwoli, żeby go obrażano z byle powodu? I to tylko dlatego, że jakimś nieodpowiedzialnemu typowi zachciało się wygadywać androny. Nie mam obowiązku spełniać czyjegoś widzimisię. Wy też jesteście pasażerami, tak samo jak ja.

*Rozsądny nie odpowiada. Nieodpowiedzialny, pozbawiony poparcia, siada na swoim miejscu. Zapada cisza. W tej ciszy słyhać, jak kierowca wreszcie wsiada do kabiny, hałaśliwie zatraskując drzwiczki. Drzwi autobusu z sykiem się zamykają. Motor po dwóch urywanych warknięciach zaczyna równomiernie*

*pracować. Szofer dodaje gazu i autobus rusza. Kabiny kierowcy nie widać – jest ona oddzielona od wnętrza autobusu kretonową zasłonką. Zasłonka drży od wibracji.*

KOBIETA: *(szepciem)* Czemuś tutaj usiadł?

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Jest czysto.

KOBIETA: *(szepciem)* Mimo to nie powinieneś siadać przy mnie. Ten na drugim siedzeniu wygląda mi podejrzanie.

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Ja go chyba gdzieś widziałem.

KOBIETA: *(szepciem)* Jeśli jest z Instytutu, to koniec.

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Mam się przesiąść?

KOBIETA: *(szepciem)* Nie, to by było jeszcze gorzej. Zwrócisz na siebie uwagę. Żeby tylko na następnym przystanku nie wsiadł jeszcze ktoś z Instytutu.

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Nie powinien. Przecież dlatego odczekaliśmy w kukurydzy te pół godziny, aż wszyscy powychodzą.

KOBIETA: *(nie wytrzymuje)* Och, ja już tego już dłużej nie wytrzymam!  
*(wszyscy się odwracają)*

MĘŻCZYŻNA: Mogłem tu usiąść, bo nie było wolnych miejsc.

KOBIETA: *(szepciem)* Jak to nie było. Autobus jest pusty.

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Czego ty właściwie chcesz – mamy im podarować to mieszkanie?

KOBIETA: *(szepciem)* Nie krzycz!...

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Ofiarować w prezencie? Ot tak, bo sami mamy pałac?

KOBIETA: *(szepciem)* Nie możesz mówić ciszej?!... *(rozgląda się)*

MĘŻCZYŻNA: *(szepciem)* Ciszej już nie mogę. Pękną mi struny głosowe. Struny głosowe pękają też od szeptania, nie tylko od krzyku.

KOBIETA: *(szepciem)* To jakiś koszmar, ty bez przerwy krzyczysz.

MĘŻCZYŻNA: *(szeptem)* A ty nie masz prawa zwracać mi uwagi – jesteśmy przecież rozwiedzeni.

*Nagle Kobieta zanosi się szlochom i zakrywa twarz rękami. Mężczyzna rozgląda się naokoło i delikatnie głaszcze ją po policzku.*

KOBIETA: *(szeptem, chlipiąc)* Nie mogę już dłużej wytrzymać. Nie mogę...

MĘŻCZYŻNA: *(szeptem)* Wiem. Ale to było jedyne wyjście. Gdzie nasze dzieci będą mieszkać? Musieliśmy to zrobić.

KOBIETA: *(szeptem)* Nie mogę... W dodatku w Instytucie stale mnie wypytyują... przyglądają mi się... Nie mogę...

MĘŻCZYŻNA: *(szeptem)* Dobrze. Z powrotem się pobieramy i lekką rączką rezygnujemy z jednego mieszkania.

KOBIETA: *Żebyśmy chociaż pracowali w różnych miejscach... (zdaje sobie sprawę, że mówi za głośno i zniża głos)* Żeby nas nie znali... Bo tak...

MĘŻCZYŻNA: *(szeptem)* Nie opowiadaj głupstw, dokąd pójdziesz pracować? To jedyny instytut o tym profilu. Musisz wytrzymać, trudno. Tylko nie rób ze mnie potwora. Że niby biłem dzieci wężem od pralki po to, żeby nie było śladów.

KOBIETA: *(szeptem)* Kiedy musiałam... Ta wścibska Penewa przyparła mnie do muru, a czemuście się rozwiedli, a dlaczego tak nagle, a takie z was było dobre małżeństwo...

MĘŻCZYŻNA: A to, że śpiam z dziewczynkami ze szkoły baletowej? Skąd ci to przyszło do głowy? Ludzie patrzą na mnie jak na raroga.

KOBIETA: *(szeptem)* Sam przecież mówiłeś, żeby wymyślić coś więcej... żeby ich zaszokowało i żeby przestali się wypytywać...

MĘŻCZYŻNA: *(szeptem)* Zaszokowało! Tak ich zaszokuje, że mnie wyrzucą z pracy za niewinność. Nie dalej jak dzisiaj musiałem iść na dywanik.

KOBIETA: *(szeptem)* Za co?

MĘŻCZYŻNA: (*szeptem*) Za wszystko. Za pijaństwo, za sadyzm, za dziewczynki ze szkoły baletowej...

KOBIETA: Matko Boska!... I co?

MĘŻCZYŻNA: (*szeptem*) Będą nade mną pracować, ot co! Każdy może mieć jakieś słabostki, ale ja, powiedział, przekroczyłem wszelkie granice. Prawdziwa kolekcja, powiedział. Złoty skarb z Panagiuriszte.

KOBIETA: Bo czemu bez przerwy pijesz? Zniszczysz sobie wątrobę.

MĘŻCZYŻNA: Sama opowiadałaś, że jestem utajnionym alkoholikiem. Fiołkami mam pachnieć?

KOBIETA: Tylko czemu się wtedy biłeś z Iwanowem?

MĘŻCZYŻNA: A co? Niby taki pijak i moczymorda, a nigdy się z nikim nie pobił, nie urządził żadnej draki... To by było podejrzone.

KOBIETA: I w ogóle co ty o mnie opowiadasz?... Jeszcze zniosę to, że jestem puszczalska, samiśmy się tak umówili, ale że otrułam własnego ojca?... Żebyś wiedział, tego o tatusiu nigdy ci nie wybaczę!...

MĘŻCZYŻNA: A co miałem powiedzieć? Tamto nie zrobiło na nich żadnego wrażenia.

KOBIETA: Nie obchodzi mnie, czy zrobiło wrażenie. Zabraniam ci szargać pamięć mojego ojca!

MĘŻCZYŻNA: (*szeptem*) Nie krzycz!

KOBIETA: Nie pozwolę robić z siebie ojcobójczyni!

MĘŻCZYŻNA: O co ci chodzi? Wszyscy mają wiedzieć, żeśmy się rozwiedli tylko po to, żeby zachować oba mieszkania? Wiesz, co by się wtedy działo?

(*Kobieta milczy*) Wiesz czy nie? Jakby to doszło do uszu społeczeństwa?... I z pracy mogą wyrzucić, i mieszkanie odebrać...

KOBIETA: Wszystko ma jakieś granice.

MĘŻCZYŻNA: Alkoholikowi i tak nikt nie uwierzy. Ale ty też tak nie strzelaj oczami w mojej obecności, bo inaczej...

KOBIETA: Skoro już mam być puszczalska, to muszę dbać o opinię.

MĘŻCZYŻNA: Chociaż nie rób tego z taką przyjemnością.

KOBIETA: Tylko jak? Ze wstrętem? Żeby się wszyscy zorientowali?

MĘŻCZYŻNA: A może ty rzeczywiście jesteś...

KOBIETA: Co?!

MĘŻCZYŻNA: Może to właśnie jest twoje prawdziwe oblicze, a reszta...

*Kobieta spogląda na niego, gryzie wargi i zasłoniwszy oczy zaczyna płakać.*

*Mężczyzna ponuro patrzy przed siebie. Autobus równomiernie się kołysze. W środku panuje cisza.*

*Pauza.*

NIEROZSĄDNY: *(do Wirtuoza)* Przepraszam, nie wydaje się panu, że jedziemy innymi ulicami? *(znow się wpatruje przez okno)*

WIRTUOZ: W jakim sensie innymi?

NIEROZSĄDNY: W tym sensie, że niezgodnie z trasą.

WIRTUOZ: *(obojętnie)* Ja tu mieszkam tylko chwilowo, trudno mi powiedzieć.

NIEROZSĄDNY: *(wpatrując się przez szybę)* No pewnie, przejechaliśmy koło jakiejś fabryki, teraz elewatory, a na trasie tego autobusu nie ma żadnych elewatorów, przecież jeżdżę tędy ponad dziesięć lat.

WIRTUOZ: Możliwe. Nie wiem. Wszystko jedno. *(wzrusza ramionami)*

*Nierozsądny przez pewien czas znowu wpatruje się w okno, po czym zwraca się do pasażerów.*

NIEROZSĄDNY: Proszę państwa, chciałbym się o coś spytać: dokąd my właściwie jedziemy?

ROZSĄDNY: *(składa gazetę, którą dotychczas czytał)* O co panu chodzi?

NIEROZSĄDNY: Chcę wiedzieć, dokąd jedziemy!

NIEODPOWIEDZIALNY: O, jeszcze jeden do Panczarewa!

ROZSĄDNY: Nie wie pan, dokąd jedzie ten autobus?

NIEROZSĄDNY: Wiem. I właśnie dlatego pytam.

NIEODPOWIEDZIALNY: Jeśli pan też chce jechać do Panczarewa, to lepiej od razu wysiąść.

NIEROZSĄDNY: Ja chcę jechać do śródmieścia.

ROZSĄDNY: To dlaczego pan pyta?

NIEROZSĄDNY: Dlatego, że autobus nie jedzie zgodnie z trasą. Już na samym początku skręcił w boczną ulicę i teraz krąży po przedmieściach. Jakaś zupełnie inna trasa.

ROZSĄDNY: *(patrzy przez okno)* To tylko tak się wydaje. Na dworze jest ciemno.

NIEROZSĄDNY: Ale nie na tyle, żebym nie rozróżniał ulic.

*Wszyscy zaczynają wpatrywać się w okna z wyjątkiem Wirtuoza i bezgłośnie czulących się do siebie Zakochanych.*

NIEROZSĄDNY: I jeszcze jedno pytanie.

NIEODPOWIEDZIALNY: Kto pyta, nie błądzi, mam rację?

NIEROZSĄDNY: Do tej pory powinniśmy się zatrzymać na dwóch przystankach. Czemu się nie zatrzymaliśmy?

*W tym samym momencie autobus zwalnia i zatrzymuje się.*

NIEODPOWIEDZIALNY: No i po co te nerwy? Właśnieśmy się zatrzymali.

*Drzwi otwierają się z sykiem i do autobusu wsiada Panczarewo ze swoim workiem. Drzwi zamykają się. Autobus rusza.*

PANCZAREWO: Dobry wieczór! Czy ten pekaes jedzie do Panczarewa?



NIEODPOWIEDZIALNY: Ooo, to ty, bracie? Się masz, się masz! Ten pekaes jedzie akurat w przeciwnym kierunku.

PANCZAREWO: (*rozgląda się po autobusie*) Coś mi się widzi, że ja już tutaj byłem.

NIEODPOWIEDZIALNY: No i dobrze ci się widzi. Miło raz jeszcze powitać. Prosimy siadać.

ROZSĄDNY: Widzi pan? Jednak tu jest przystanek. Widać zmienili trasę.

NIEODPOWIEDZIALNY: Teraz to co drugi dzień zmieniają. (*Pauza*)

PANCZAREWO: Nie wiedzie mi się dzisiaj z tymi pekaesami. To już chyba czwarty i żaden nie chce jechać do Panczarewa. Jakem wysiadł z tego ostatniego, to po ciemku chyba poszedłem w złą stronę i w końcu całkiem straciłem głowę, wszystkie ulice mi się poplątały.

ROZSĄDNY: Więc to nie był przystanek?

PANCZAREWO: Zaś tam, przystanek. Jakem zobaczył pekaes, tożem zaczął machać i chłopina się zatrzymał.

NIEROZSĄDNY: Toteż mówię – nie jedziemy według trasy.

ROZSĄDNY: Zbyt pochopnie formułuje pan swoje stanowisko. A nuż właśnie to jest trasa.

PANCZAREWO: I cóż ja teraz zrobię? Musi trzeba będzie znów wysiadać.

Pauza. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

NIEROZSĄDNY: O, znów skręca. Na tej rasię nigdy nie było tylu zakrętów.

PANCZAREWO: Wysiadam. Inaczej to i do północy nie dojadę. A jeszcze do wsi kawał drogi... (*Podchodzi do zasłonki*) Chłopcze, stańże na chwilę, znów żem się zmylił...

*Autobus zwalnia, przystaje, drzwi otwierają się i Panczarewo wysiada razem z workiem. Drzwi zamykają się z sykiem, autobus rusza.*

NIEROZSĄDNY: Czemu my tak siedzimy? Spytajmy kierowcy.

ROZSĄDNY: Spokojnie. „Spytajmy”, „spytajmy”... Niech pan sam spyta.

NIEODPOWIEDZIALNY: A może on jedzie na skrót?

NIEROZSĄDNY: Jak to na skrót? Takimi serpentynami?

ROZSĄDNY: Do kierowcy należy mieć zaufanie.

NIEROZSĄDNY: Zaufanie to ja mam, ale chcę wrócić na czas do domu. Muszę oddać lutownicę.

ROZSĄDNY: A skąd te obawy, że nie wróci pan na czas?

NIEROZSĄDNY: *(pokazuje na swój zegarek)* Wpół do ósmej! O tej porze powinniśmy być na przystanku „Sredna gora”, tam zawsze sprawdzam czas z tym dużym zegarem na rogu. Tymczasem, jak pan widzi, jesteśmy nie wiadomo gdzie.

ROZSĄDNY: Ja osobiście wierzę, że dojedziemy na czas. Reszta to już pana rzecz. Tylko proszę, żeby pan nie wciągał do tego innych pasażerów. A w ogóle to ja na pana miejscu wykazałbym więcej wiary. Jest pan stosunkowo młodym człowiekiem.

NIEROZSĄDNY: To co, że jestem młody? Nie żądam przecież emerytury.

Żądam, żeby autobus jechał zgodnie z trasą. Do tego też trzeba mieć odpowiednie lata?

NIEODPOWIEDZIALNY: Kto pyta, nie błądzi, mam rację?

NIEROZSĄDNY: Przecież ja tej trasy nie wymyśliłem. Jestem zmęczony. Cały dzień pracowałem, chcę jak najprędzej wrócić do domu. I jeszcze muszę oddać lutownicę. *(Pokazuje ją)* Jeśli nie oddam przed ósmą, to właściciel wyjedzie do Chaskowa. Bez lutownicy.

ROZSĄDNY: Nikt nie chce nocować w autobusie, ale czemu mamy obrażać kierowcę nieuzasadnionymi podejrzeniami.

NIEROZSĄDNY: Dlaczego nieuzasadnionymi? Właśnie że bardzo uzasadnionymi. A w końcu czemu bym się go nie miał spytać? Co w tym obraźliwego?

ROZSĄDNY: Rozmowa z kierowcą jest wzbroniona.

NIEROZSĄDNY: Zmienianie trasy jest też wzbronione. A on to zrobił.

ROZSĄDNY: A skąd pan wie, że zrobił? Może istnieje jakaś nowa trasa.

NIEROZSĄDNY: Jak to nowa? Rano jechaliśmy według starej.

NIEODPOWIEDZIALNY: Rano mogliśmy jechać według starej, a w południe mogli ją zmienić. Nie będziesz ich pan uczył, kiedy mają zmienić trasę. Lepiej pilnować swoich spraw.

NIEROZSĄDNY: (*oburzony*) Ja swoich spraw pilnuję. Dlatego chcę, żeby i oni pilnowali swoich.

ROZSĄDNY: Taki pan młody, a już pełen wątpliwości. My w pana wieku byliśmy pełni wiary.

NIEROZSĄDNY: Nie jestem pełen wątpliwości. Po prostu mam oczy. To nie jest ulica, po której jeżdżą autobusy.

ROZSĄDNY: Niech pan nie przywiązuje takiej wagi do ulicy. Nie zawsze najprostsza droga prowadząca do celu jest drogą najkrótszą. Możliwe, że jedziemy po ortodromie.

MĘŻCZYZNA: A może go jednak spytać?

KOBIETA: (*ciągnie go za rękaw*) Siedź cicho. Lepiej, że nie jedziemy zwykłą trasą, tam mógłby nas ktoś zobaczyć.

NIEROZSĄDNY: Ja jestem zmęczony i nie mam zamiaru tłuc się jeszcze nie wiadomo, ile. Idę go spytać. (*wstaje*)

ROZSĄDNY: Ostatni raz panu mówię – proszę go nie drażnić. To nierozsądne.

NIEODPOWIEDZIALNY: Człowieku, czy ty nie rozumiesz, że on nas może wszystkich wyrzucić z autobusu? I co wtedy? Oni się zrobili tacy wrażliwi, że uchowaj Boże. Jeszcze weźmie i ci przyłoży kluczem francuskim. Siedź lepiej cicho.

*Nierozsądny idzie ku kabinie i znika za zasłonką. W autobusie panuje cisza, słychać tylko warkot silnika. Po minucie za zasłonką widać jakiś ruch i ukazuje*

*się z za niej ciało Nerozsądnego, osuwające się na podłogę. Wszyscy unoszą się z siedzeń.*

KOBIETA: Zabił go!

ROZSĄDNY: Mówiłem, żeby go nie drażnić!

NIEODPOWIEDZIALNY: Kluczem francuskim!... Pewnie niepotrzebnie podniósł głos.

MĘŻCZYZNA: Jak można bić kluczem francuskim?

NIEODPOWIEDZIALNY: A czym? Magazynu tu żadnego tu nie ma, człowiek bierze, co ma pod ręką.

WIRTUOZ: Co za dzielnica!

*Nieodpowiedzialny, Kobieta i Mężczyzna podnoszą Nerozsądnego i przenoszą na jego miejsce. Ostrożnie kładą go na siedzeniu.*

KOBIETA: Czy w autobusie jest lekarz?

MĘŻCZYZNA: Trzeba wody. Czy ktoś ma wodę?

NIEODPOWIEDZIALNY: Ja mam śliwownicę. Ale najpierw sprawdźmy, czy on żyje, bo po co marnować.

ROZSĄDNY: *(który się nawet nie ruszył z miejsca)* Trzeba sprawdzić puls.

NIEODPOWIEDZIALNY: Albo lepiej lusterkiem.

*Wszyscy zwracają się ku Kobiecie. Gorączkowo grzebie w torebce, ale nic nie może znaleźć. Wirtuoz sięga do kieszeni, wyciąga lusterko i podaje Nieodpowiedzialnemu.*

KOBIETA: Oddycha.

ROZSĄDNY: To znaczy uderzył go ze względów wychowawczych.

WIRTUOZ: Jest przytomny?

NIEODPOWIEDZIALNY: Jak nie jest, to będzie, ale co oberwał, to jego.

Mówiliśmy mu, przekonywaliśmy – a ten jak głuchy.

MĘŻCZYŻNA: Dajcie trochę tej śliwowicy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Bierz pan! (*Podaje. Mężczyzna wlewa ją do ust Nierozsądnego*) Tylko nie za dużo, bo co zostanie dla mnie.

MĘŻCZYŻNA: Ale to jego trzeba postawić na nogi.

NIEODPOWIEDZIALNY: Mówiło mu się, żeby siedział na tyłku, to nie słuchał i teraz go trzeba stawiać na nogi. No już będzie, bo jeszcze i ja się tam wybiorę, żebyście mnie stawiali na nogi... (*odbiera Mężczyźnie butelkę i porządnie z niej pociąga*)

WIRTUOZ: Można prosić o lusterko? (*długo je przeciera, potem odruchowo się przegląda. Jest przerażony swoją bladością*)

NIEODPOWIEDZIALNY: (*uspokaja go*) Przejdzie mu. Wyliże się jak pies. Musi tylko trochę poleżeć.

*Po ułożeniu Nierozsądnego wszyscy zajmują swoje miejsca. Przez pewien czas jadą w milczeniu. Tylko z tylnego siedzenia słychać od czasu do czasu śmiech – są tam Zakochani, zajęci wyłącznie sobą. Pasażerowie wpatrują się w szyby. Robią to potajemnie, kryjąc się przed pozostałymi, każdy sam dla siebie.*

ROZSĄDNY: Interesująca trasa.

NIEODPOWIEDZIALNY: Kluczemy jak lis.

MĘŻCZYŻNA: Tak, sporo tu zakrętów.

KOBIETA: Ale w ogóle jest niezła.

ROZSĄDNY: To jeszcze nic, tor samochodowy w Monzie ma siedemdziesiąt osiem zakrętów.

MĘŻCZYŻNA: Tylko że tam za ich pokonanie można dostać pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

ROZSĄDNY: Zapomina pan, że tam istnieje wyzysk człowieka przez człowieka.

MĘŻCZYŻNA: Nie zapominam. Po prostu informuję o fakcie.

ROZSĄDNY: Bo niektórzy zapominają.

KOBIETA: Ten pan nie jest z tych, co zapominają. Ten pan uczestniczył... w wygwizdaniu cara Ferdynanda na skwerze przed budynkiem Teatru Narodowego.

MĘŻCZYŻNA: Ależ słuchaj...

KOBIETA: Uczestniczyłeś!

MĘŻCZYŻNA: Nie uczestniczyłem. Miałem wtedy trzy lata.

KOBIETA: Ale byłeś wtedy na skwerze, tak czy nie?

MĘŻCZYŻNA: W wózek. Z mamą.

KOBIETA: I gwizdałeś na gwizdku, tak czy nie?

MĘŻCZYŻNA: Ja gwizdałem jeszcze przed przyjazdem cara. To był nowy gwizdek, właśnie go dostałem.

KOBIETA: Ważne są fakty. Mogłeś nie gwizdać. Mogłeś po prostu spać, jak setki innych. Ale ty gwizdałeś. Nie spałeś, tylko gwizdałeś. Z oburzeniem.

ROZSĄDNY: Skąd pani o tym wie?

KOBIETA: Ja... my... myśmy chodzili razem do szkoły. Cała szkoła o tym wiedziała.

*W autobusie znowu zapada milczenie.*

MĘŻCZYŻNA: *(szepem)* Napytasz nam tylko biedy.

KOBIETA: *(szepem)* To czemu się wypierasz?

MĘŻCZYŻNA: *(szepem)* Nie wypieram się, tylko to jest po prostu śmieszne.

KOBIETA: *(szepem)* Ale czemu? Inni nie mają żadnych zasług, a mimo to... Podczas gdy ty... Ty jesteś postępowy.

MĘŻCZYŻNA: *(z westchnieniem)* Postępowy, ale rozwiedziony.

KOBIETA: (*uspokajająco*) To nic, rozwiedzeni też mogą być postępowi.

*W ciszy, która potem zapada, słychać tylko warkot silnika i brzęczenie szyb autobusu.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Trzeba by jakoś zadziałać...

ROZSĄDNY: Na przykład?...

NIEODPOWIEDZIALNY: Bo ja wiem... Czas leci... Jeśli tak dalej pójdzie, sałata mi całkiem zwiędnie... i nici z zagrychy...

ROZSĄDNY: Spróbowaliśmy wysondować sytuację... (*wskazuje na leżącego Nierozsądnego*)

WIRTUOZ: (*nerwowo spacerując po autobusie*) To zaczyna być niepokojące.

ROZSĄDNY: To znaczy co?

WIRTUOZ: To. (*nieokreślony ruch ręki*) Leży człowiek. Zakręty. Wokół ciemno...

ROZSĄDNY: Ciemno, bo jest wieczór. O tej porze jasno jest na drugiej półkuli. Nic się na to nie poradzi.

WIRTUOZ: Chciałem powiedzieć: na ulicach, którymi jedziemy.

ROZSĄDNY: Widzimy to. Czy pan coś proponuje?

WIRTUOZ: Ja?! (*kręci kategorycznie głową*) Ja nigdy w życiu niczego nie proponowałem. (*mówi to z dumą*)

*Znów zapada cisza. Nierozsądny zaczyna się ruszać, wszyscy na niego patrzą. Przewraca się na drugi bok i dalej leży.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Idę i niech się dzieje, co chce... (*łyka śliwownicy*)

ROZSĄDNY: Tylko lepiej na odległość... proszę do niego za blisko nie podchodzić.

NIEODPOWIEDZIALNY: Wiem. Na odległość klucz francuskiego. Tylko że na odległość źle słyhać.

MĘŻCZYŻNA: Motor warczy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Na odległość czy nie na odległość – raz kozie śmierć. Trzymajcie w pogotowiu! (*podaje butelkę Mężczyźnie*)

*Idzie do kabiny, za zasłonkę. Znika się za nią. Wszyscy podnoszą się i w napięciu czekają, co dalej. Mężczyzna otwiera butelkę ze śliwownicą. Mija minuta, potem druga. Nieodpowiedzialny nie wraca.*

WIRTUOZ: Chyba go nie... za gardło. (*pokazuje*)

ROZSĄDNY: Raczej nie. To taki silny mężczyzna. A poza tym zgromadziliśmy już pewne doświadczenia. (*ruch ręki w stronę wciąż leżącego Nierozsądnego*)

KOBIETA: Czemuż on jeszcze nie wraca!...

*W następnej chwili zza zasłonki pojawia się Nieodpowiedzialny – żywy, cały i uśmiechnięty od ucha do ucha.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Jedziemy po chleb.

*Niebotyczne zdumienie pasażerów. Mężczyzna machinalnie pociąga tyk śliwownicy.*

MĘŻCZYŻNA: Jak to po chleb?

NIEODPOWIEDZIALNY: Szuka otwartej piekarni. Musi kupić trzy bochenki chleba. Tamten miał rację. (*kiwa w stronę Nierozsądnego*) Nie jedziemy według trasy. Na trasie nie ma piekarni.

KOBIETA: Ale na nas w domu czekają dzieci. Nie można robić zakupów prowadząc autobus.



NIEODPOWIEDZIALNY: Powiedziałem mu.

MĘŻCZYZNA: No i ?

NIEODPOWIEDZIALNY: „A czy to ja nie jestem człowiek?” – mówi – „Czy ja nie mam dzieci? Czy też może tylko wasze dzieci mają jeść chleb, a moje – nie?”

MĘŻCZYZNA: Powinien był wcześniej kupić. Co by to było, gdyby na przykład maszynista zaczął jeździć po chleb pociągiem. Macie pojęcie?

NIEODPOWIEDZIALNY: Kiedy miał kupić? Od rana do nocy za kółkiem. Jeśli nie przyniesie chleba, żona nie wpuści go do domu. Ona też pracuje w komunikacji miejskiej, wcześniej rano wychodzą do pracy, późno wracają. Jeśli nie uda im się dostać wieczorem, to przez cały dzień są bez chleba.

ROZSĄDNY: Logiczne!

WIRTUOZ: Co za dzielnica!

MĘŻCZYZNA: I jak długo będziemy szukać chleba?

NIEODPOWIEDZIALNY: Podobno niedaleko stąd jest piekarnia. Trzy minuty drogi.

*Zapada cisza, autobus jedzie przez pewien czas, potem zatrzymuje się. Słychać, jak głośno trzaskają drzwiczki kabiny kierowcy. Siedzący od strony piekarni przyciskają twarze do szyb.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Już jest przy drzwiach.

MĘŻCZYZNA: Ekspedientka liczy pieniądze.

KOBIETA: Czemu nie wchodzi?

ROZSĄDNY: Nie może, już zamknięte.

MĘŻCZYZNA: To skandal – zamykać razem z kurami.

ROZSĄDNY: Właśnie wtedy, kiedy ludzie chcą kupić chleb.

KOBIETA: Stuka w szybę. Ciekawe, czy mu otworzy?

ROZSĄDNY: *(oburzony)* Dalej liczy pieniądze! Co za naród!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Nie wpuści go.

KOBIETA: Wraca.

MĘŻCZYZNA: Jak Christo Botew szedł walczyć z Turkami, to też się znalazł taki, co mu nie sprzedał chleba.

ROZSĄDNY: Niech pan nie uogólnia.

MĘŻCZYZNA: Nie uogólniam. Po prostu podaję fakt.

ROZSĄDNY: Bo niektórzy uogólniają.

KOBIETA: Ten pan nie jest z tych, co uogólniają. Ten pan...

ROZSĄDNY: Wiem. Uczestniczył w wygwizdaniu.

KOBIETA: Właśnie.

*Kierowca wsiada, słysząc trzaśnięcie drzwiczek. Autobus rusza. Przez pewien czas panuje milczenie. Nagle autobus gwałtownie hamuje. Drzwi otwierają się z sykiem i do środka wchodzi Panczarewo z workiem. Drzwi zamykają się, autobus znów rusza.*

PANCZAREWO: Dobry wieczór. Czy ten pekaes jedzie do Panczarewa?

NIEODPOWIEDZIALNY: No proszę! Wiedziałem, że do Panczarewa to on dzisiaj nie dojedzie.

PANCZAREWO: Jak miałem dojechać, kiej nie ma czym. Piechotą nie dojdzie.

MĘŻCZYZNA: (*nerwowo*) A jak pan tutaj trafił?

PANCZAREWO: Normalnie żem trafił. Co widzę jakiś pekaes, to go zatrzymuję. Ale żaden nie jedzie do Panczarowa. I tak cały wieczór. Ale, ale! Coś mi się widzi, że tutaj to ja już byłem.

NIEODPOWIEDZIALNY: Te głupie dwa czy trzy razy to się nie liczy. Grunt to spokój, dziadku!...

PANCZAREWO: Po basetli żem poznał. (*wskazuje na Wirtuoza*) Byłem tu, byłem. (*z mistycznym niemal zadziwieniem*) Wciórności, gdzie się też podziało to Panczarewo, całkiem jakby się w ziemię zapadło. Co mi teraz począć? (*waha*

się) Niech tam, zostaję!... Nigdy nic nie wiadomo, a już ten pekaes i do Panczarewa dojedzie.

*Panczarewo ciągnie worek do tyłu autobusu. Nie dochodzi tam jednak, bo widzi Zakochanych, którzy właśnie w tym momencie wymieniają długi pocałunek. Ze zgorzeniem odwraca się i siada na pierwszym lepszym siedzeniu. Kładzie worek i siada obok niego. W tym momencie autobus zatrzymuje się. Trzask drzwiczek kabiny kierowcy. Wszyscy – z wyjątkiem Zakochanych, Panczarewa i Nierozsądnego, który wciąż jeszcze leży – przysuwają twarze do okien.*

MĘŻCZYŻNA: Tu na szczęście otwarte.

NIEODPOWIEDZIALNY: Poczekajmy, niech wejdzie.

ROZSĄDNY: Wszedł.

KOBIETA: Bardzo przyjemna piekarnia, brawo. Wszystko aż lśni od czystości.

MĘŻCZYŻNA: A ekspedientka... Ten śnieżnobiały fartuszek, ta schludność...

ROZSĄDNY: A pan czego się spodziewał?

MĘŻCZYŻNA: Właśnie tego się spodziewałem. Nigdy bym się nie spodziewał niczego innego.

NIEODPOWIEDZIALNY: Niebrzydka babka.

PANCZAREWO: Która? (*podnosi się*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Ekspedientka. Proszę, proszę!...

PANCZAREWO: (*pospiesznie*) Gdzie? (*wpatruje się przez szybę*)

NIEODPOWIEDZIALNY: I w dodatku co za uśmiech... Ten kierowca ma szczęście. Właściwie to i ja powinienem... (*rusza do wyjścia*)

MĘŻCZYŻNA: Ale czemu się tak rozzłościł?

KOBIETA: Kopnął ladę...

NIEODPOWIEDZIALNY: O! Wraca!

ROZSĄDNY: Nie ma chleba. Sprzedany.

*Wciąż jeszcze wpatrują się w okna, kiedy drzwiczki kabiny zatrzasną się, motor zaczyna warczeć, autobus rusza. A oni dalej przyciskają twarze do szyb. Potem powoli się odwracają i każdy siada na swoim miejscu.*

PANCZAREWO: (który dopiero teraz zauważył Nierozsądnego) A czemu ten chłopak tak się rozłożył?

ROZSĄDNY: Słabo mu się zrobiło.

PANCZAREWO: Czuć go śliwownicą. Od trzech litrów w górę każdemu robi się słabo.

NIEODPOWIEDZIALNY: Nie. Daliśmy mu trochę jako lekarstwo.

PANCZAREWO: No i ładnieście go wyleczyli, nie można powiedzieć.

*Przez pewien czas w autobusie panuje milczenie. W ciemności rozbłyskują reflektory mijanych samochodów, przeplývają przez wnętrze autobusu, przez twarze pasażerów...*

MĘŻCZYŻNA: Strasznie długo to wszystko trwa.

ROZSĄDNY: Co?

KOBIETA: (szarpie Mężczyznę za rękaw) Cicho! Nie wtrącaj się... (Mężczyzna cichnie)

WIRTUOZ: Rzeczywiście, do czego to podobne?

ROZSĄDNY: Co?

WIRTUOZ: Nie przysłuchiwałem się zbyt uważnie prowadzonym tu rozmowom, ale moim zdaniem powinniśmy już dawno być na miejscu. Co to za historia z tymi piekarniami?

ROZSĄDNY: Kierowca chce kupić chleb dla dzieci. A może pan się nie zgadza, że wszyscy powinni mieć pod dostatkiem chleba?

WIRTUOZ: Oczywiście, że się zgadzam, nawet mogę wznieść inne hasło: „Wolność, równość, braterstwo”. I co z tego? Czemu nie dojeżdżamy na miejsce?

ROZSĄDNY: Szukamy chleba.

WIRTUOZ: To przecież niepoważne. Ja się spieszę na nagranie (*wstaje i zaczyna nerwowo spacerować po autobusie*). Czeka na mnie sto siedemnaście osób. Cała filharmonia. Rozumiecie? I dyrygent! Rozumiecie? Dyrygent z Grand Staatsoper! I na dodatek wielki chór mieszany. Co waszym zadaniem ma robić wielki chór mieszany w tym czasie, kiedy my tutaj szukamy chleba?

ROZSĄDNY: Ja się nie zajmuję wielkimi chórami mieszanymi.

WIRTUOZ: Moje pytanie było tylko retoryczne. Ma się rozumieć, że pan się nie zajmuje wielkimi chórami mieszanymi, to od razu widać. I tak nikt by nie uwierzył. Pytam – co mają robić wszyscy ci ludzie, około dwieście osób, wszyscy co do jednego wspaniali muzycy, znakomici wykonawcy, wirtuozi? Co waszym zdaniem mają robić reżyserowie dźwięku, technicy nagrań, cały ten personel, który czeka w studio? Czy wiecie, kto jest dyrygentem? Czy wiecie, ile tysięcy dolarów wydaliśmy, żeby go sprowadzić na kilka koncertów? Czy pan wie, że zawarte już zostały umowy na płytę, którą mamy dziś wieczór nagrać? Pytam – czy pan wie? (*pauza, milczenie*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Nie wie.

WIRTUOZ: To jasne, że nie wie. Ma to wypisane na czole. A solista – Leopold van Brauchenzoller?

PANCZAREWO: Że jak?

WIRTUOZ: Który przyleciał tylko na to nagranie i jutro rano odlatuje?

PANCZAREWO: Coś takiego!... (*dziwi się*)

WIRTUOZ: A zmarnowane święto sztuki? Czy pan wie, jakie z tego mogą wyniknąć komplikacje międzynarodowe? Przecież to jest koncert organizowany w ramach UNESCO! Współpraca kulturalna! Narody kroczące ramię w ramię, dialog i porozumienie! Walka o pokój, jeśli pan chce. O uratowanie naszej

planety. Rozumie pan: uratowanie! A my tutaj kupujemy chleb!... (*siada na swoim miejscu i ociera spotniałe czoło*) Nie rozumiem! Wytlumaczcie mi to, bardzo proszę, bo ja nic nie rozumiem!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Tu nie ma nic do rozumienia, wszystko jest jasne.

KOBIETA: A na mnie czekają dzieci. I nawet nie wiem, jedno czy dwoje.

Starszy odbiera młodszego z przedszkola. Ale czy go odebrał?... Stale zapomina. Ostatnim razem szukaliśmy ich przez milicję. I wiecie państwo, gdzie ich znaleźli – na dworcu! Śpiących!... Chcieli pojechać z wizytą do babci do Czirpanu!... Czy wiecie, gdzie leży Czirpan?... (*mężczyzna zasłania twarz rękami*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Czirpan leży niedaleko Nowej Zagory.

KOBIETA: Wszystko jedno, Nowej czy Starej, kiedy jeden ma siedem lat, a drugi trzy!

PANCZAREWO: Coś takiego!...

KOBIETA: (*zaczyna płakać*) I kto wie, gdzie oni teraz są!... Czy żyją? Chcę wrócić do domu, chcę zobaczyć swoje dzieci!...

MĘŻCZYŻNA: Cicho, cicho, uspokój się! (*ale i on ma łzy w oczach*)

NIEODPOWIEDZIALNY: A mnie to może jest lekko? Połowę śliwowicy żeśmy zmarnowali (*wskazuje na leżącego nieruchomo Nierozsądnego*), sałata zwiędła, a w domu czeka na mnie brat, bo akurat dzisiaj jest rocznica śmierci taty, wieczne mu odpoczywanie. Kto go wie, jak na mnie psioczy i pewnie sobie myśli, że gdzieś zachlałem. Znów mi powie: dla ciebie nie ma nic świętego, nie szanujesz nawet pamięci własnego ojca, zamiast wspomnieć go z bratem jak człowiek z człowiekiem to się zachlewasz Bóg wie gdzie. A czy ja się zachlewam, proszę bardzo, jesteście świadkami, zachlewam się czy nie. (*przy słowie „świadkami” wszyscy odwracają się do niego plecami*) I to jest moje nieszczęście – nikt mi nie wierzy. Człowiek może duszę z siebie wygadać, a ci patrzą mu prosto w oczy i ani jednemu słówku nie wierzą. I jak tu żyć!...

PANCZAREWO: Na mnie niby też czekają, ale i tak wszystko się wyonaczyło i może pojedziemy do Panczarewa, a może nie. Dlatego siedzę cicho.

ROZSĄDNY: (*widzi, że pozostał osamotniony*) Towarzysze! Żleście mnie zrozumieli, to nieporozumienie! Jestem z wami, jestem takim samym pasażerem jak i wy. Ja także mam dzieci, ja także mam brata... Mnie się także wyonaczyło. Chodzi o to, żebyśmy byli rozsądni. I nie poddawali się emocjom. Tak więc jakie macie propozycje?

NIEODPOWIEDZIALNY: Dużo ci pomogą propozycje. Ja osobiście mam już tego powyżej uszu! Idę do kierowcy i mówię mu, co i jak. (*pociąga łyk i podaje butelkę Mężczyźnie*)

*Nieodpowiedzialny wchodzi za zasłonkę, pozostali w napięciu oczekują jego powrotu. Mężczyzna odkorkowuje butelkę. Wirtuoz wyciąga lusterko, przeciera je i trzyma w pogotowiu.*

KOBIETA: O Boże, żeby mu się tylko udało.

ROZSĄDNY: Stopień prawdopodobieństwa jest fifty-fifty.

PANCZAREWO: (*nie rozumie*) Że jak?

ROZSĄDNY: Pół na pół. Może się uda, a może się nie uda.

PANCZAREWO: Co na pół?

MEŻCZYŻNA: Długo go nie ma.

*W następnym momencie zza zasłonki wychodzi Nieodpowiedzialny. Jest zdumiony, nie może uwierzyć w to, co usłyszał od kierowcy. Nie spodziewał się tego, nie może to dotrzeć do jego świadomości. Jest oszołomiony. Pozostali patrzą na niego. Nieodpowiedzialny milczy.*

ROZSĄDNY: No i?

MEŻCZYŻNA: Co powiedział?

NIEODPOWIEDZIALNY: Jedziemy do Kopriwszticy.

*Pasażerowie patrzą po sobie, nikt nie chce uwierzyć.*

KOBIETA: To niemożliwe.

WIRTUOZ: Absurd.

ROZSĄDNY: Jak to do Kopriwszticy?

PANCZAREWO: Przez Panczarewo?

MEŹCZYZNA: Chyba pan żartuje?

NIEODPOWIEDZIALNY: *(kręci głową)* Nie.

*Wszyscy skaczą z miejsc i przyklejają twarze do okien. Tylko Zakochani są zajęci sobą. I oczywiście Nerozsądny. Pasażerowie patrzą na zewnątrz.*

KOBIETA: Rzeczywiście jest pusto, same pola.

WIRTUOZ: Kiedy wyjechaliśmy z miasta?

MEŹCZYZNA: To niemożliwe.

ROZSĄDNY: Ale te pola są dobrze uprawione. O, jakie równe bruzdy!

PANCZAREWO: Znaczy się to nie będzie Panczarewo!...

*Stopniowo wracają na swoje miejsca, na pewien czas zapada cisza. Słychać tylko świst opon.*

MEŹCZYZNA: Czemu do Kopriwszticy?

NIEODPOWIEDZIALNY: *(wciąż jeszcze oszołomiony, zamyślony, czymś poruszony)* On stamtąd pochodzi. Nie znajdę już otwartej piekarni, powiada, a nawet jeśli znajdę, to kto wie, jaki tam chleb został. A w Kopriwszticy mieszka mama, tyle czasu jej nie widziałem... Upiecze chleb... i kuraka ugotuje... naleje wina czerwonego, pięcioletniego... Wiesz, jaki chleb piecze moja mama?



Takiego nigdzie nie ma. Na górze powyciskane kogutki, wzorki różne, skórka brązowa, pachnąca, chrupiąca... Usiądę w izdebce, w której się urodziłem, w której rosłem, bawiłem się i dokazywałem... W której tata uczył mnie starych pieśni o zbójnikach, buntownikach, o Turkach i janczarach... A na niebie gwiazdy migoczą, las całkiem ucichł... Tylko strumyk szemrze, połączony księżycem, sam wygląda jak ze złota... Piękne są ojczyście strony, powiada, ale czemu tak rzadko do nich wracamy?...

*Po tym monologu w autobusie zapada milczenie. Balladowa, pełna wspomnień atmosfera – każdy przypomniał sobie ojczyście strony, rodzinny dom, wszyscy patrzą przed siebie niewidzącymi oczyma, jak gdyby wchłaniając aromat wspomnień i pigw, ułożonych na starych komodach. Każdy wraca do dzieciństwa, do drogich sercu spraw.*

MEŹCZYŻNA: (wzdycha) Tak więc Kopriwsztica.

ROZSĄDNY: (jak w transie) Kopriwsztica!... Powstanie kwietniowe!...

Pierwsza armata!... Benkowski!... „Wymierzyłem tyranii nieuleczalny cios i nic już nie może jej uratować!”

KOBIETA: „Gdybyś powrócić mógł w rodzinne strony, gdy wieczór gaśnie cichy i spokojny i cicha noc otwiera swe ramiona...” (w transie, marzycielsko)

WIRTUOZ: (zrywa się z oburzeniem) Co za ramiona! Co za cicha noc! Do Kopriwszticy jest sto kilometrów. Wypraszam sobie! Ja mam nagranie!...

ROZSĄDNY: Za mało myślimy o swoich rodzicach, ciągle nie mamy dla nich czasu. A powinno się, jak nasz kierowca, od czasu do czasu odwiedzić ich, porozmawiać... Starzy ludzie odchodzą, czekają na jedno dobre słowo... Czemu ma nie pojechać do swojej matki?

WIRTUOZ: Niech jedzie, ale jutro. Dzisiaj ja mam nagranie. Jutro może jechać, gdzie chce.

ROZSĄDNY: (*łagodnie, po ojcowsku*) Nie ma pan racji. Niby pan jest muzykiem, a nie czuje pan muzyki poezji: „Gdy wieczór gaśnie cichy i spokojny”!... Wyobrażacie sobie: przyjechać do Kopriwszticy w chwili, gdy wieczór gaśnie cichy i spokojny!

PANCZAREWO: Nigdy żem nie był w Kopriwszticy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Tylko że my możemy nie dojechać do Kopriwszticy!

MĘŻCZYŻNA: Tylko dokąd?

NIEODPOWIEDZIALNY: (*posepnie*) Do nikąd.

ROZSĄDNY: Nie możemy dojechać do nikąd. Zawsze dokądś dojedziemy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Ano tak. Tam! (*wskazuje na niebo*)

ROZSĄDNY: (*nie rozumie*) To znaczy gdzie?

NIEODPOWIEDZIALNY: Do nieba.

WIRTUOZ: Co pan wygaduje? Jak to do nieba? Uprzedziłem was – mam nagranie! Żebyście nie mówili, że was nie uprzedzałem!!!

KOBIETA: Chwileczkę, chwileczkę. Jak to do nieba?

NIEODPOWIEDZIALNY: On pije.

ROZSĄDNY: Kierowca? Co pije?

NIEODPOWIEDZIALNY: Śliwovicę. Wprost z butelki. (*ponuro wzdycha*)

ROZSĄDNY: (*podnosi się*) Ależ to potworne. Czemu pan od razu nie powiedział?

NIEODPOWIEDZIALNY: To znaczy kiedy? Zaraz zaczęliście deklamować wiersze.

ROZSĄDNY: Ja w to nie wierzę.

WIRTUOZ: Ani ja.

MĘŻCZYŻNA: To niemożliwe. Nie może pić podczas pracy. Przecież odpowiada za życie pasażerów.

KOBIETA: Oczernia pan człowieka. Kierowcy autobusów nigdy nie piją.

PANCZAREWO: A jużci!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Kto chce, może sprawdzić!...

*Rozsądny spogląda na niego, potem ostrożnie podchodzi do zasłonki i zagląda za nią. Wsuwa tylko głowę, nie śmie wejść dalej. Zdruzgotany i milczący wraca na miejsce. Wirtuoz patrzy na niego, zrywa się i nerwowym krokiem podchodzi do zasłonki, zagląda i wraca blady jak ściana, nerwowo zginając i rozginając palce. Milczy. Po nich podnosi się Kobieta, ale Mężczyzna energicznie kładzie jej rękę na ramieniu, zmuszając ją, by usiadła, po czym sam wstaje i idzie do zasłonki jak na ścięcie. Wsuwa głowę i wraca, blady i wstrząśnięty. Milczy. Siada obok Kobiety i mocno ściska jej rękę.*

PANCZAREWO: To ja już nie będę łąził po próżnicy.

*Pauza.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Wpakuje nas do pierwszej przepaści!

*Niemal w tej samej chwili słychać straszne wycie, brzęk, łomot. Rozbłyскуje oślepiające światło reflektorów. Autobus podskakuje i przechyla się na prawo, wszyscy wypadają na podłogę... I tak samo raptownie wszystko ustaje – autobus wyminął dwie wielkie ciężarówki. Pasażerowie po kolei wysuwają się spod siedzeń, wstają z podłogi, podnoszą się...*

ROZSĄDNY: Następnym razem jak nic się zderzymy. Co robić? Każda sekunda na wagę złota. Tu chodzi o nasze życie!

PANCZAREWO: Ja mówię, żebyśmy jechali do Panczarewa.

ROZSĄDNY: Żarty na stronę! To jest sprawa życia lub śmierci. Każdy musi to sobie uświadomić i poważnie się ustosunkować do zaistniałej sytuacji.

PANCZAREWO: Jakie znów żarty. Skoro ma się ginać, to chociaż jak najbliżej Panczarewa. Mam tam opłacone miejsce na cmentarzu. *(zdejmuje z szacunkiem czapkę)*

*Wszyscy są przerażeni jego słowami. W milczeniu patrzą po sobie.*

MEŹCZYŻNA: *(z nadzieją w głosie)* A może to w butelce to nie jest śliwowica.

ROZSĄDNY: Tylko co? Oranzada?

MEŹCZYŻNA: Woda. Nieraz ludzie wożą wodę w butelkach po alkoholu.

NIEODPOWIEDZIALNY: On zaczął już na pętli. Pod budką, gdzie kupowałem dla siebie śliwovicę.

ROZSĄDNY: Jak to? I nic pan nam nie powiedział?

NIEODPOWIEDZIALNY: Nie wiedziałem, czy to on. Teraz też nie wiem. Ale tam byli kierowcy autobusów, klęli na bazę remontową. Obalili po pięćdziesiątce.

ROZSĄDNY: To nie jest woda. Skoro on postanowił jechać do Kopriwszticy – to nie może być woda.

WIRTUOZ: Ja sobie wypraszam takie żarty. Najpierw szukanie chleba, potem wycieczka do Kopriwszticy, teraz znów jakieś historie ze śliwowicą... Tego stanowczo za dużo. Ja uprzedzałem. Mam nagranie i nie jestem w stanie przyłączyć się do waszej zabawy. Niezależnie od tego, jaka jest śmieszna.

ROZSĄDNY: Rzecz w tym, że tu nie chodzi o zabawę. Sytuacja jest taka poważna, że aż mi się w głowie nie mieści. Co robić?... *(wstaje i spaceruje tam i z powrotem)* Co robić?... Wy też myślcie!...

NIEODPOWIEDZIALNY: *(wyciąga swoją butelkę)* Ja proponuję gołnąć po łyku.

ROZSĄDNY: Coś podobnego! W takim momencie!

NIEODPOWIEDZIALNY: Bardzo odpowiedni moment. Żeby trochę zneutralizować ośrodki strachu. Na froncie przed atakiem rozdawali żołnierzom

po dwieście gramów. (*spogląda na butelkę*) Po dwieście nie da rady, za dużo nas jest, ale po łyku obleci. Przy tym na froncie są większe szanse na przeżycie – albo cię kula trafi, albo i nie. A tu w każdej sekundzie możemy wylądować w pierwszej lepszej przepaści. Mamy jedną szansę na tysiąc. Z tego wniosek, że trzeba sobie golnąć, póki nie jest za późno.

*Uroczyście pociąga z butelki i podaje ją Mężczyźnie. Ten bierze ją w milczeniu, pije i podaje Kobiecie, która spogląda na niego, jakby milcząc żegnała go na zawsze, i też upija. Potem podaje butelkę Wirtuozowi, który napiwszy się przekazuje ją Rozsądnemu. Rozsądny przez chwilę się waha, ale jednak pije. Od niego butelkę przejmuje Panczarewo. Przypomina to milczącą, urozystą sztafetę spiskowców.*

PANCZAREWO: A tamci młodzi, z tyłu, nie napiją się?

ROZSĄDNY: (*patrzy w tył autobusu*) Racja. Oni też mają prawo wypić po łyku. A i mogą coś wymyślić, dzisiejsza młodzież jest nadzwyczaj pomysłowa. Hej!... Młodzi ludzie! Pozwólcie no tu na chwilę!

ZAKOCHANY: (*niechętnie*) Co jest?

ROZSĄDNY: Prosimy do nas.

ZAKOCHANY: Duchem jesteśmy z wami.

ROZSĄDNY: Na sekundę.

ZAKOCHANA: Skoro na krótko, to możemy iść.

ZAKOCHANY: Przecież powiedziałem, że duchem jesteśmy z nimi. A ciała niech lepiej zostaną tutaj. (*obejmuje ją*)

ZAKOCHANA: Zapraszają nas, nie wypada odmówić.

ZAKOCHANY: Skoro tak ci zależy... (*idą do pozostałych*) Co? Macie alkohol?!? Jakaś imprezka?

ZAKOCHANA: Wszystkiego najlepszego! Czyje to imieniny?

ROZSĄDNY: Widzicie państwo, byliście trochę... oderwani od wydarzeń, które rozegrały się w tym autobusie, i być może nie wiecie wszystkiego.

ZAKOCHANY: To znaczy czego?

ROZSĄDNY: Wydarzyły się tu pewne sprawy... Zresztą mniejsza o to.

Najważniejsze, że jedziemy do Kopriwszticy!!!

ZAKOCHANI: (*radośnie*) Coś podobnego!!! Hura-a-a!!! (*padają sobie w objęcia*)

ZAKOCHANY: Całą noc będziemy razem!

ZAKOCHANA: Super!

ZAKOCHANY: Mieliśmy jechać do śródmieścia, jakżeście to załatwili? Dla mnie bomba!!!

*W tym momencie autobus ze zgrzytem i hałasem wymija jadącą z naprzeciwka ciężarówkę. Jej reflektory zalewają światłem jego wnętrze i oślepiają pasażerów. Niektórzy spadają z siedzeń.*

ZAKOCHANY: (*z zachwytem*) Wziął go na dwóch kołach! Ale zawodnik!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Ty, słuchaj no! Nie rozumiesz, co się tu dzieje?

ZAKOCHANY: Jak to? Jedziemy do Kopriwszticy. Żeby tylko zajazd był otwarty.

ZAKOCHANA: (*jakby zamawiając*) Dla mnie szaszłyk z rusztu!

ZAKOCHANY: Z dużą wódką!

NIEODPOWIEDZIALNY: Widziałeś, jak go wyminęliśmy?

ZAKOCHANY: (*z entuzjazmem*) O milimetr! Równiuteńko jak od linijki!

ROZSĄDNY: (*krzyczy*) Następnym razem będzie zderzenie czołowe – kierowca pije śliwovicę!!!

ZAKOCHANY: Tak, i?

ROZSĄDNY: Prosto z butelki!

ZAKOCHANY: Oburza was, że nie z kieliszka?

ROZSĄDNY: Nie rozumiecie, że póty naszego życia, póki go ten alkohol nie weźmie? Potem koniec!

ZAKOCHANY: Ach, o to wam chodzi? Teraz cała Europa pije za kierownicą. To normalka. A myśmy myśleli, że Bóg wie co się dzieje. Chodź!... (*obejmuje Zakochaną i idą w tył autobusu*)

ROZSĄDNY: No proszę. Dla dzisiejszej młodzieży nie ma nic świętego!...  
(*Pauza*)

MĘŻCZYŻNA: A może jednak w tej butelce jest woda? Skąd możemy być pewni, że to akurat śliwowica?

ROZSĄDNY: Próżne nadzieje.

MĘŻCZYŻNA: Ale dlaczego? Równie prawdopodobne, że to jest woda, jak i to, że śliwowica.

PANCZAREWO: Fifty-fifty.

KOBIETA: Oczywiście, że to może być woda. Czemu od razu myśleć o najgorszym.

ROZSĄDNY: W takim razie myślmymy o czymś przyjemniejszym – na przykład, że jedziemy na wycieczkę do Włoch. (*Pauza*) Zamiast sobie wyobrazać nie wiadomo co, lepiej wybierzmy delegację. To robi wrażenie. Idziemy i rozsądnie przedstawiamy sprawę, zapewniamy go, że głęboko rozumiemy jego potrzeby, wczuwamy się, jesteśmy przekonani o jego racji, ale... niech i on nas zrozumie, my też jesteśmy ludźmi. A przecież żyjemy w epoce humanizmu. Potem będziemy działać zależności od powstałej sytuacji.

NIEODPOWIEDZIALNY: (*sceptycznie*) A jużci, działać. Już ja dobrze wiem, jak to będzie z tym działaniem!

ROZSĄDNY: Najpierw trzeba wysondować grunt – zorientować się, w jakim jest nastroju, czy jest wesoły, czy zły, żeby wiedzieć, jak do niego podejść. To jest bardzo ważne i stanowi pierwszą przesłankę sukcesu.

MĘŻCZYŻNA: No to sondujmy. Kto się tym zajmie?

ROZSĄDNY: (*wskazuje na Nieodpowiedzialnego*) On, jako najbardziej doświadczony. Pójdzie do niego, opowie o delegacji, a jednocześnie zorientuje się, jaka jest ogólna sytuacja.

NIEODPOWIEDZIALNY: Dla mnie jest jasne jak słońce, że guzik z tego będzie. Ale raz kozie śmierć – idę!

*Znika za zasłonką kabiny kierowcy. Pozostali w napięciu czekają na wynik sondażu.*

WIRTUOZ: Wydaje mi się, że to jest niepotrzebne. Po co nam się bawić w jakieś delegacje?

ROZSĄDNY: A w co pana zdaniem mamy się bawić? W chowanego? Udawać, że jedziemy napawać się pięknem ojczystych Bałkanów?... Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i liczyć na ślepy przypadek... Musimy działać!... Nieodpowiedzialny wychodzi zza zasłonki i podchodzi do skupionych pośrodku autobusu pasażerów.

ROZSĄDNY: No i? W jakim jest nastroju?

NIEODPOWIEDZIALNY: Powiedziałem mu. Nie chce nawet słuchać.

ROZSĄDNY: (*zdumiony*) O czym nie chce słuchać?

NIEODPOWIEDZIALNY: O delegacji. Żadnych delegacji, powiada, ja jestem kierowcą, nie jestem Organizacją Narodów Zjednoczonych. Żadnych delegacji nie przyjmuję. Jedziemy do Kopriwszticy. Komu się nie podoba – może wysiąść.

KOBIETA: Jak to wysiąść – na tym pustkowiu, w tych górach. On chyba zwariował!

MĘŻCZYZNA: Nie wiadomo, czy uda się złapać jakąś okazję do miasta.

WIRTUOZ: Nie ma mowy o wysiadaniu. To by znaczyło, że do rana nie dojedziemy. Co on sobie myśli!...

KOBIETA: Nie ma najmniejszego prawa.



NIEODPOWIEDZIALNY: I jeśli jeszcze raz, powiada, ktoś mi tu przyjdzie zawracać głowę, to dostanie kluczem. Mam dość. Co pięć minut pogaduszki. Rozmowa z kierowcą jest zabroniona. Gdzie wyście dotychczas byli? Czemuście nic nie mówili? I zamknął kabinę od środka. *(Pauza)*

PANCZAREWO: Nie wiedzie mi się z tą jazdą i tyle. Żeby wreszcie dojechać do Panczarewa, już mi wszystko jedno, czy w dzień, czy w nocy...

*W autobusie zapada cisza. Każdy zagłębia się w swoich myślach. Słyszą tylko nieustanne brzęczenie szyb i blachy autobusu, który się kołysze i od czasu do czasu podskakuje.*

ROZSĄDNY: Ja wysiadam. *(pozostali patrzą na niego, zaskoczeni)* Wolę przenocować w polu niż zginąć w jakiejś przepaści. Do widzenia!... *(bierze teczkę i podchodzi do drzwi)* Halo, panie kierowco, poproszę na żądanie!... *(żadnej reakcji ze strony kierowcy)* Panie kierowco!... Chciałbym wysiąść!...

MĘŻCZYŻNA: Nie słyszy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Nic z tego nie będzie. Trzeba iść do kabiny.

ROZSĄDNY: Żeby dostać kluczem.

WIRTUOZ: *(nagle)* Wysiadam z panem. *(bierze wiolonczelę i staje przy drzwiach, obok Rozsądnego)*

ROZSĄDNY: To niech pan mu powie, żeby otworzył.

WIRTUOZ: Pan pierwszy chciał wysiąść, to proszę do niego iść.

ROZSĄDNY: Niech pan będzie rozsądny, w ten sposób nigdy nie wysiądziemy. *(Stoją na stopniu przy drzwiach autobusu i przeczekują się nawzajem)*

WIRTUOZ: To jak będzie?

ROZSĄDNY: Sądzę, że to pan powinien iść. Poza wszystkim innym jest pan młodszy.

WIRTUOZ: I podczas kiedy ja będę leżał nieprzytomny, to pan sobie wysiądzie, tak?... Jeśli pan chce, chodźmy obaj.

ROZSĄDNY: Nie trzeba zbędnych ofiar. Najlepiej, żeby poszedł jeden.

WIRTUOZ: I tym jednym mam być ja, tak? W takim razie niech pan sobie wysiada, ja zostaję!... (*impulsywnie wraca na swoje miejsce*)

*Rozsądny stoi przez pewien czas na stopniu przy drzwiach. Po chwili wyciąga z kieszeni białą chusteczkę, przywiązuje ją do zwiniętej gazety i ostrożnie, na palcach podchodzi do zastłonki. Wsuwa za nią improwizowaną białą flagę, ale nie odważa się wsunąć głowy. Czeki.*

ROZSĄDNY: Proszę pana!... Parlamentariusz!... Nie chcę rozmawiać, chcę tylko wysiąść... (*żadnej reakcji*) Przecież sam pan powiedział, że jeśli ktoś chce... (*patrzy na pasażerów*) Proszę pana! Halo!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Mówiłem, że nie słyszy. Trzeba iść do kabiny. Motor hałasuje.

ROZSĄDNY: Nie wyświadczyłby mi pan tej przysługi?

NIEODPOWIEDZIALNY: Jakiej?

ROZSĄDNY: Iść mu powiedzieć.

NIEODPOWIEDZIALNY: Co to ja jestem, gołąbek pocztowy? Dość się nachodziłem.

ROZSĄDNY: Ostatni raz! (*poufnie*) W zamian za skromne wynagrodzenie, jeśli pan zechce!

NIEODPOWIEDZIALNY: Nie! Nie zechcę!...

*Rozsądny stoi jeszcze przez jakiś czas, potem chowa białą flagę i powoli wraca na miejsce. Pauza. I nagle – straszliwe wycie, oślepiające reflektory, trzask, hałas. Wszyscy pasażerowie wypadają na prawą stronę autobusu... I znów cisza. Wymięli tira.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Dosłownie o włos. Następnym razem hukniemy czołowo.

ROZSĄDNY: Co robić? Co robić?...

NIEODPOWIEDZIALNY: Oto jest pytanie!

KOBIETA: Jak mówi Szekspir: „To be or not to be”!...

PANCZAREWO: Że jak?

KOBIETA: Być albo nie być. Po angielsku.

PANCZAREWO: Jeśli się o mnie rozchodzi...

ROZSĄDNY: (*nerwowo mu przerywa*) Wiem. Do Panczarewa. To jasne!... Ale zrozum, człowieku, że jak tak dalej pójdzie, to zamiast w twoim ukochanym Panczarewie znajdziemy się na tamtym świecie... Czemu ja wsiadłem do tego autobusu!... Czemu???!...

MĘŻCZYŻNA: Pana pytanie jest trochę nielogiczne – innego autobusu nie było.

ROZSĄDNY: Zamiast się wymądrzać, to lepiej niech pan powie, co robić. A może pan jest przekonany o swojej nieśmiertelności? I że pan zmartwychwstanie z popiołów, jak ptak Feniks?... Guzik, rozleci się pan w drobny mak i nawet nie będzie czego zbierać.

MĘŻCZYŻNA: Oczywiście. A pan dozna tylko lekkiego szoku.

KOBIETA: Czemu wy się, panowie, kłóćcie? Czas mija, musimy coś wymyślić!...

MĘŻCZYŻNA: No bo kto widział takie przepowiednie? Ja w drobny mak, a on? Zostanie żywy i cały, tylko garnitur mu się trochę pogniecie?

KOBIETA: Porozmawiajmy z tym kierowcą jak ludzie, on przecież też jest człowiekiem, musi nas zrozumieć. Człowiek dla człowieka bratem.

Porozmawiajmy z nim jak bracia.

PANCZAREWO: Jak bracia to lepiej nie. My z moimi braćmi przez całe życie nie możemy się dogadać. Dziesięć lat właśnie stuknęło, jak dzielimy między siebie wierzbę, co nam została po tacie i nie możemy jej podzielić. Resztę

żeśmy podzielili, a wierzby nijak nie możemy. Każdy się zaparł i nie chce ustąpić. Wreszcie tej wiosny jeden powiada: „Nie będę się was więcej słuchał, zabieram moją część, a wy se tam róbcie, co chcecie”. Jak go drugi brat usłyszał, to też powiada: „Ja także biorę swoją część, co to, ja mam być gorszy, tę wierzbę też mam po tacie”. I aniśmy się obejrżeli, jak wierzba leżała porąbana na kawałki. Kiedy była cała, dawała cień, dzieciaki się na niej huštały, a z tej kupki drzazg tyciuśkiego pożytku żaden z nas nie ma. Ani to dobre na opał, ani na obróbkę. I zmarnowała nam się wierzba. Toteż mówię, że jeśli mamy rozmawiać jak bracia, to lepiej wcale nie zaczynać.

*Po tej tyradzie Panczarewa zapada cisza.*

NIEODPOWIEDZIALNY: A może by go... trzepnąć w łeb, oszołomi się faceta i potem...

ROZSĄDNY: I potem obudzimy się w raju. Ze świeżo wyrosłymi skrzydełkami. Przecież autobus natychmiast wyleci w szosy. Siłą nie można. Tylko drogą perswazji. To nitka, na której wisi nasze życie. Albo mu wyperswadujemy, albo zginiemy. Musimy coś wymyślić. Musimy. Myślcie. *(wszyscy zbierają się w gromadkę i myślą)* W naszej sytuacji to tylko...

PANCZAREWO: To be or not to be!

*Kurtyna*

## AKT DRUGI

*Sytuacja z końca aktu pierwszego – podróżni intensywnie myślą. Wyjątkiem jest oczywiście Nierozsądny, który jeszcze leży, i Zakochani, zajęci sobą w głębi autobusu.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Zawsze mi różne rzeczy przychodziły do głowy, a teraz – nic. Dwadzieścia minut myślę i żadnej myśli. To dlatego, że wypiliście mi śliwovicę.

KOBIETA: Sam pan nas zmusił.

NIEODPOWIEDZIALNY: Ja was zmusilem? Ja, który w życiu nie zmusilem nikogo do wypicia kropli alkoholu!...

ROZSĄDNY: Nie rozmawiajmy, myślmy.

*Znów zapada cisza, wszyscy w skupieniu myślą.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Panczarewo nie myśli.

ROZSĄDNY: Jak to nie myśli?

NIEODPOWIEDZIALNY: Ano nie myśli. Śpi.

ROZSĄDNY: Jak można spać, kiedy inni myślą! Hej, dobry człowieku!...

Halo!...

PANCZAREWO: (*gwałtownie otwiera oczy*) Że jak?... Co się stało? To już Panczarewo?

ROZSĄDNY: Wstydziłbyś się, człowieku, spać, kiedy wszyscy myślą.

PANCZAREWO: Przecie ja myślę.

ROZSĄDNY: Jak to „ja myślę” – przez sen?

PANCZAREWO: Mnie się najlepiej myśli przez sen.

ROZSĄDNY: No nie, to jest brak poczucia solidarności.

PANCZAREWO: Nie wyjeżdżaj mi pan tu z solidarnością!

ROZSĄDNY: Jak ktoś jest solidarny, to nie śpi.

PANCZAREWO: Kiedy ze mną jest tak, że kiedy się za bardzo zamyślę, to zasypiam. Od małego to mam. Moi bracia tak samo. Z nami jest tak, że jak trzeba coś zrobić, to się robi, ale jak zaczniemy myśleć – to koniec. Żadnego pożytku: albo zasypiamy, albo się zapijamy.

ROZSĄDNY: Myśl, człowieku, myśl. Bo jak zaśniesz snem wiecznym, to się nie obudzisz. Właśnie teraz trzeba myśleć.

PANCZAREWO: Będę myślał, czemu nie. A co ma być, to będzie. (*rozsiada się wygodnie*)

*W autobusie znów zapada cisza. Wszyscy myślą. Od czasu do czasu zmieniają pozę, spacerują, kręcą się. Rozlega się wycie silników, reflektory oślepiają wszystkich, w tym także widownię, i po sekundzie robi się cicho. Znów wyminęli ciężarówkę.*

ROZSĄDNY: Szybciej! Szybciej, nie mamy czasu!... Nikt nic nie wymyślił?

MEŹCZYŻNA: (*niepewnie*) Może by tak ten pan ze skrzypcami... (*urywa*)

ROZSĄDNY: (*dodaje mu odwagi*) Tak, tak, słucham?

MEŹCZYŻNA: ...coś mu zagrał. Słyszałem, że muzyka oddziałuje nadzwyczaj dobroczynnie na system nerwowy. Nawet u dzikich zwierząt. Oczywiście określone melodie.

ROZSĄDNY: To fakt. Muzyka uszlachetnia.

MEŹCZYŻNA: Kiedy Orfeusz grał, zwierzęta zbierały się naokoło, żeby go słuchać.

KOBIETA: Ja też gdzieś czytałam, że wydajność pracy błonkoskrzydłych wzrasta dwukrotnie, jeśli im puścić muzykę.

MEŹCZYŻNA: I gdyby ten pan ze skrzypcami był tak dobry...

WIRTUOZ: (*drżąc z gniewu*) To nie są skrzypce!

MEŹCZYŻNA: Tak, oczywiście, ja się nie znam... ale gdyby pan...

NIEODPOWIEDZIALNY: Powiedz wreszcie, bracie, co to takiego jest! Czemu nas męczysz? Przez cały wieczór powtarzasz: „To nie są skrzypce, to nie są skrzypce”. Więc powiedz wreszcie, co to jest, przecież jesteśmy już jak jedna rodzina. Nie zaszkodzi się dowiedzieć przed śmiercią.

WIRTUOZ: Wiolonczela. Jeśli to komuś coś mówi.

MĘŻCZYZNA: Tak więc jeśli ten pan z wiolonczelą będzie taki dobry, żeby mu coś zagrać...

WIRTUOZ: Nigdy.

ROZSĄDNY: Zaraz, zaraz, czemu tak kategorycznie... Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Czemu nigdy? Proszę wytłumaczyć.

WIRTUOZ: Nie mam obowiązku z niczego się tłumaczyć.

ROZSĄDNY: Oczywiście o żadnym obowiązku nie może być mowy. Ale jednak jedziemy z panem jednym i tym samym autobusem, czeka nas jednakowy los, który, nie ma co ukrywać, może być straszny. Sądzę, że mimo wszystko mógłby pan wytłumaczyć.

NIEROZSĄDNY: Święta racja, rozsądnie byłoby wytłumaczyć.

*Wszyscy zaskoczeni odwracają się do niego. Nie zauważyli, że doszedł do siebie i teraz siedzi normalnie jak wszyscy.*

NIEODPOWIEDZIALNY: O! Wygrzebał się.

WIRTUOZ: Niech pan się nie wtrąca, jak pan nie wie, o co chodzi. Dopiero co oprzytomniał i zaraz wyjeżdża ze świętą racją!...

NIEROZSĄDNY: Nie dopiero co. Dwadzieścia pięć minut temu. Wiem wszystko.

KOBIETA: To czemu pan leżał? Myśmy już postawili na panu krzyżyk.

NIEROZSĄDNY: Myślałem.

NIEODPOWIEDZIALNY: A cóż tu jest takiego do myślenia?

NIEROZSĄDNY: Kiedy się dobrze dostanie po głowie, to człowiekowi przychodzą do tej głowy różne myśli. Kiedy tak leżałem, całe życie przesunęło się przede mną. I co zobaczyłem? Nic, tylko rozwydrzenie, ani kropli dojrzałości. Zobaczyłem, jak daleko byłem od prawdy i jak wielką rację miał ten pan (*spogląda na Rozsądnego*) ze swoimi radami... Leżałem i z zamkniętymi oczyma zobaczyłem prawdę, zrozumiałem ją.

NIEODPOWIEDZIALNY: Jeśliby cię jeszcze raz zdzielili, pewnie byś się zapisał na filozofię.

ROZSĄDNY: Odbiegamy od tematu. Czemu pan nie chce zagrać?

WIRTUOZ: Nie pańska rzecz. Nie chcę i tyle.

NIEROZSĄDNY: Ale to przecież nierozsądne. Sam pan widzi, w jakiej jesteśmy sytuacji!

NIEODPOWIEDZIALNY: (*przekonuje go*) Odrobina muzyki może na niego fantastycznie podziałać – wpadnie w dobry nastrój, uspokoi się, może sam zacznie śpiewać. W różnych delikatnych sytuacjach, bracie, najlepsza jest odrobina muzyki.

WIRTUOZ: Odrobina muzyki! (*wstaje, oburzony*) Co wy wiecie o muzyce! Co wy wiecie o wszechogarniającym żywiole tej sztuki! Co wy wiecie o apoteozie radości, światła i potęgi człowieka? O tych strzelistych świątyniach harmonii i piękna, podtrzymujących istnienie wszechświata!... O tym locie, wznoszeniu się w górę, w opromienione światłem i miłością przestrzenie, które zbliżają nas do Boga i przenoszą w zaświaty... Muzyka!...

ROZSĄDNY: Jeśli chodzi o zbliżenie do Boga, a zwłaszcza przeniesienie w zaświaty (*wskazuje w górę*), to możemy się tam znaleźć i bez pomocy muzyki. Nawet wydaje mi się, że może bardzo niedługo do tego dojdzie – jak tylko autobus wypadnie z szosy.

PANCZAREWO: Przecież Boga podobno nie ma, to gdzie się będziemy przenosić? A może z tym Bogiem coś się zmieniło?

ROZSĄDNY: Z Bogiem nic się nie zmieniło, najwyżej z nami.



KOBIETA: Więc skoro muzyka ma taką siłę, to tym bardziej niech mu pan zagra. To na pewno podziała. Ja proszę!...

NIEROZSĄDNY: Zagraj mu pan, nie bądź taki uparty!

WIRTUOZ: Zagrać? Ja? Tutaj, w tym rozklekotanym, podskakującym autobusie? Ja, wirtuoz, który grałem w obecności króla Belgii z małżonką? Laureat drugiej nagrody konkursu w Langevin, oklaskiwany przez angielską operę królewską?... Ja, który doprowadziłem do łez Orazio Frugoniego? Ja mam zagrać? Jakiemuś tam kierowcy?!!!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Skoro nikt inny nie umie...

NIEROZSĄDNY: Albo pan jego doprowadzi do łez, albo on nas.

MĘŻCZYZNA: Kto inny, jeśli nie pan? Nikt inny nie ma pojęcia o apoteozie.

ZAKOCHANA: Można prosić o autograf? (*Zakochany spogląda na nią jak spoliczkowany*)

ROZSĄDNY: Może pan i jest wirtuozem, nie przeczę, ale najwyraźniej nie rozumie pan sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Wszyscy! Wirtuozi też giną!

WIRTUOZ: Wolę zginąć.

ROZSĄDNY: Ależ to jest niemądre. Strata będzie podwójna: pan straci na zawsze sztukę, muzykę, a ona – swego kapłana, sługę, wirtuoza. Po co? Komu to potrzebne? W imię czego? Prosimy – tylko pięć minut.

WIRTUOZ: Nie.

KOBIETA: Ale dlaczego? Tylko pięć minut. Przecież to jest pana zawód!!!

WIRTUOZ: (*jakby przesyty nożem*) Zawód?!... Muzyka?!... Muzyka nie jest zawodem, ona jest życiem. Ona jest domem, rodziną, miłością, wszystkim. Nie mogę się prostytuować.

ROZSĄDNY: Opowiada pan głupstwa. Chodzi po prostu o to, żeby pan coś zagrał. Chyba w tym nie ma nic złego?

WIRTUOZ: Sztuka nie uznaje kompromisów. To byłby kompromis ze sztuką. Ja nie gram w autobusach!

ROZSĄDNY: Aha, nie gra pan w autobusach.

WIRTUOZ: Nie gram!

ROZSĄDNY: Dla króla Belgii z małżonką pan gra?

WIRTUOZ: Gram!

ROZSĄDNY: W angielskiej operze królewskiej pan gra?

WIRTUOZ: Gram!

ROZSĄDNY: A w autobusach pan nie gra?

WIRTUOZ: Nie gram!

ROZSĄDNY: Dla zwykłych ludzi pracy pan nie gra. Będzie pan doprowadzał do łez jakiegoś tam Włocha, a własnych rodaków nie chce pan doprowadzić do łez. Bo to byłby kompromis. Grać dla tych, którzy pana wożą, którzy pana karmią i ubierają, to kompromis ze sztuką, tak?

WIRTUOZ: Występuję także dla naszej publiczności. A tamto były występy gościnne.

ROZSĄDNY: Proszę nie odbiegać od tematu. Tak więc świątynie i apoteozy są dla królów i ich małżonek a dla ludzi pracy – figa z makiem. Tak?

NIEROZSĄDNY: Jasne jak słońce.

WIRTUOZ: Wypacza pan istotę rzeczy. Nigdy nic takiego nie mówiłem.

NIEROZSĄDNY: A pan wypacza istotę sztuki.

ROZSĄDNY: Sam pan widzi, na co wychodzi: dla królów można, a dla narodu nie można. Bardzo dziwny pogląd na sztukę, wyjątkowo dziwny.

NIEROZSĄDNY: Wcale nie dziwny, wszystko jest jasne.

WIRTUOZ: Źle mnie panowie zrozumieliście. Chodziło o to, że sztuki nie robi się ot tak, w ciągu kilku minut, na zawołanie, sztuka to nie bucik, który trzeba wyglansować.

ROZSĄDNY: Chciał pan powiedzieć: to nie królewski bucik, bo królewskie pan zdaje się glansuje? Tak?

WIRTUOZ: Nigdy nie mówiłem, że dla narodu nie można. To śmieszne. A poza tym wątpię, żeby właśnie on (*wskazuje na kabinę*) miał być narodem. Mimo wszystko naród to coś więcej.

ROZSĄDNY: Radziłbym panu nie wątpić.

NIEROZSĄDNY: To, że pan wątpi, budzi sporo wątpliwości.

ROZSĄDNY: Proszę pamiętać, że zwątpienie nigdy nie doprowadziło do niczego dobrego.

WIRTUOZ: Ja jednak wątpię.

NIEODPOWIEDZIALNY: Zagrajże, człowieku, bo a nuż ci odbiorą zezwolenie na działalność – nie widzisz, jak na ciebie wsiedli?

WIRTUOZ: Ja nie sprzedaję pestek. Moje zezwolenie jest tu (*wskazuje na swoje serce*) i nikt mi go nie może odebrać.

PANCZAREWO: A jużci!... Ja najlepiej wiem, jak to z tym jest, jeżdżę przecież na targ. Odbiorą ci i nawet nie poczujesz, kiedy. Jednemu chłopu z Panczarewa w ciągu tygodnia dziesięć razy odbierali.

KOBIETA: Maestro, błagamy, niech pan mu zagra!... (*pauza*)

ROZSĄDNY: Więc jak: zagra pan dla zwykłych ludzi, czy koniecznie jest panu potrzebna błękitna krew? Ale uprzedzam – pytam po raz ostatni!...

WIRTUOZ: Nie zagram!

ROZSĄDNY: Doskonale!...

*Rozsądny siada na swoim miejscu i spokojnie krzyżuje ramiona. Wirtuoz zaczyna nerwowo spacerować po autobusie. Wszyscy obserwują jego ruchy, tylko Rozsądny wcale się nie interesuje Wirtuozem i patrzy spokojnie przed siebie.*

WIRTUOZ: (*po minucie spaceru*) Przecież ja nie jestem przygotowany... Nie rozegrałem się... To niemożliwe... Bez próby... Bez rozegrania...

NIEROZSĄDNY: (*zrywa się*) Maestro, zanim pan się rozegra, nas już może nie być. A próby? Po co próby, przecież pan jest wirtuozem, laureatem drugiej nagrody w konkursie w Langevin, grał pan dla króla Belgii z małżonką... Panu nie jest potrzebne żadne rozegranie!

ROZSĄDNY: Doprowadzi pan go do łez, jestem pewien, doprowadził pan przecież do łez nawet Orazio Frugoniego!... I teraz wobec zwykłego kierowcy miałby pan mieć tremę?...

NIEROZSĄDNY: Tylko prędeż!... Prędeż!...

WIRTUOZ: *(przechadza się wzburzony po autobusie)* Ale przecież... mimo wszystko... to coś w rodzaju koncertu... Ja tak nie mogę... taka niezwykła sytuacja...

ROZSĄDNY: Tu nie ma nic niezwykłego, sytuacja jak sytuacja... Co to dla pana wnieść świątynię... z tych tam... sam pan wie!... *(pokazuje rękami, o jaką świątynię chodzi)*

KOBIETA: Jesteśmy w pańskich rękach, maestro!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Śmiało, chłopie, i tak już gorzej nie będzie.

MĘŻCZYZNA: Tylko spokojnie... spokojnie... niech pan się nie denerwuje... To bardzo ważne, żeby się artysta nie denerwował...

ZAKOCHANA: Można prosić o autograf?

NIEROZSĄDNY: Potem, potem, teraz maestro musi mieć spokój, musi się skupić... Nasz wirtuoz kochany!

*Wszyscy krzątają się przy nim, zajmują się nim jak bokserem, który ma wyjść na trzecią, decydującą rundę. Wirtuoz wyjmuje wiolonczelę, podchodzi do kabiny i nagle zawraca.*

WIRTUOZ: O Boże, zapomnieliśmy o najważniejszym – co mam grać?

ROZSĄDNY: Jak to co? Niech pan mu zagra coś takiego... tirlifirli... sam pan wie!...

NIEROZSĄDNY: Oczywiście, że pan wie! Maestro, pan wie najlepiej!...

WIRTUOZ: Nie wiem. Rzecz w tym, że nie wiem. Jaki on ma gust... co by tu... Może „Wariacje «Rococo»” Czajkowskiego... *(patrzy na Rozsądnego)*

ROZSĄDNY: Tak. Czajkowski będzie świetny!... No, dalej! (*leciutko go popycha*)

WIRTUOZ: A może Haydn!...

ROZSĄDNY: Haydn też może być!...

NIEROZSĄDNY: Byle szybciej!...

WIRTUOZ: Nie, Haydn nie będzie odpowiedni... czuję, że nie będzie odpowiedni. Więc co?... Co?... „Menuet” Dworzaka? Nie!... „Requiebros” Gaspara Cassado?... Nie, to za bardzo... Może „Suitę hiszpańską” Manuela de Falli?...

PANCZAREWO: Jeśli się o mnie rozchodzi, to bym zagrał „Requiebros”.

WIRTUOZ: Myśli pan?... A może to i słuszne... Tak, tak, właśnie „Requiebros”... „Requiebros”!...

NIEROZSĄDNY: Nareszcie!... Szybciej!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Bardzo dobrze, że pan wybrał tego requiem-bluesa. W sam raz pasuje.

WIRTUOZ: Nie, nie, to są „Requiebros” czyli „komplementy”, rozumie pan, „komplementy”...

ROZSĄDNY: (*spokojnie*) To świetnie, też w sam raz pasuje, ale w tej chwili najważniejszy jest pośpiech. Jest pan gotów?

*Wokół Wirtuoza trwa gorączkowa krzątanina, ktoś mu poprawia kołnierz marynarki, ktoś inny przygląda włosy. Nierozsądny przeciera wiolonczelę chusteczką do nosa. Mężczyzna inną chusteczkę, porządnie złożoną, wsuwa do górnej kieszonki marynarki. Kobieta otrzepuje plecy w miejscu, gdzie, jak jej się zdaje, jest mała plamka...*

ROZSĄDNY: (*ostatni raz przygląda mu się ze wszystkich stron*) Niech pan idzie. I proszę pamiętać, że wszystko jest w pańskich rękach. W razie potrzeby proszę zmienić melodię, zorientuje się pan zresztą na miejscu. I najważniejsze –

niech pan go obserwuje, przez cały czas niech go pan obserwuje, w ten sposób będzie pan wiedział, czy mu się podoba, czy nie.

WIRTUOZ: (*podchodzi do kabiny i znów zawraca, skonfundowany*) Nie mam na sobie fraka, ale... rozumiecie państwo, autobus... i w dodatku tak ex promptu...

ROZSĄDNY: (*popycha go ku kabinie*) Tak, tak, tak, wszyscy rozumiemy, że autobus... i że tak ex promptu... No, proszę już iść! Najważniejsza jest muzyka...

NIEODPOWIEDZIALNY: Hej, chłopie! (*Wirtuoz znów zawraca*) Pamiętaj: spoko, luz i spontan! Gorzej już nie będzie!

WIRTUOZ: Serdecznie panu dziękuję!

*Wirtuoz, przejęty, idzie do kabiny, niosąc smyczek i wiolonczelę. Znika za zasłonką. Wszyscy siedzą nieruchomo, zwróceni w stronę kabiny.*

ROZSĄDNY: Cicho!

NIEROZSĄDNY: (*powtarza za nim*) Cicho!...

*Za zasłonki zaczynają dobiegać dźwięki wiolonczeli. Melodia zaczyna się całkiem cicho, potem z przejmującym bólem i tęsknotą wzmagą się, unosi w górę, wnika w serca i dusze, wypełnia je bez reszty. I nic już nie istnieje – świat, ludzie, autobus – nic poza muzyką. Pasażerowie ucichli, ich twarze robią się tęskne, rozmarzone, muzyka unosi ich gdzieś ze sobą. Tylko Zakochany ma na twarzy sceptyczny uśmiech. Melodia kończy się raptownie, tak samo jak się zaczęła. Wybuchają burzliwe oklaski, pasażerowie wstają, biją brawo, ogarnęła ich niepohamowana radość i nadzieja. Tylko Zakochany dalej siedzi i uśmiecha się ironicznie.*

KOBIETA: (*klaszcze*) Brawo! Brawo!...

NIEODPOWIEDZIALNY: Bis! Bis! Biiis! (*jednocześnie też klaszcze*)

KOBIETA: Jesteśmy uratowani! U-ra-to-wa-ni!

*Wszyscy zaczynają razem z nią klaskać i wołać: „U-ra-to-wa-ni! U-ra-to-wa-ni!”. Gdy entuzjazm i radość osiągają szczyt, zza zasłonki powoli wychodzi Wirtuoz. Brawa i okrzyki stopniowo milkną. Zapada cisza. Wszyscy patrzą na Wirtuoza. Jego twarz jest szara, skurczona, maluje się na niej oszłomienie. W absolutnej ciszy chowa do futerału smyczek i wiolonczelę, odkłada futerał i siada na swoim miejscu, na nikogo nie patrząc. W autobusie panuje cisza. Pauza.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Co jest, chłopie? (*Wirtuoz milczy, wstrząśnięty*)

MĘŻCZYŻNA: Nie spodobało mu się?

KOBIETA: Jak mu się to mogło nie spodobać? To było takie piękne...

NIEROZSĄDNY: I nic nie powiedział?

WIRTUOZ: (*głucho*) Powiedział.

NIEROZSĄDNY: Co?

WIRTUOZ: Czemu te skrzypce są takie duże.

NIEROZSĄDNY: I więcej nic?

WIRTUOZ: I żebym sobie poszedł. Jak ktoś gra na skrzypcach, to jemu się zawsze chce spać.

*Pauza.*

ROZSĄDNY: Jasne. Tak więc musimy zaczynać wszystko od nowa.

*W autobusie znowu zapada cisza. Wszyscy patrzą w zamyśleniu przed siebie. Z tyłu dobiega kłótnia Zakochanych.*

ZAKOCHANA: Ależ to jest głupie, zrozumi, tylko ci zakręcić włosy i gotowy Otello!... (*Zakochany milczy*) Jeśli chcesz mnie udusić, to może zdejmę płaszcz – żeby ci było wygodniej. (*Zakochany dalej milczy*) Zdjąć? (*Zdejmuje płaszcz. Zakochany nie reaguje*) Przecież ja go tylko poprosiłam o autograf, nic więcej. Jeśli twoim zdaniem stanowi to kontakt seksualny...

ZAKOCHANY: Tu nie chodzi o kontakt seksualny.

ZAKOCHANA: Tylko o jaki?

ZAKOCHANY: Duchowy. I o moją opinię o tobie. Gdybyś go dotknęła choćby czubkiem paluszka, obydwójga was by już nie było na świecie, bo bym was... Co ty mi chcesz mydlić oczy tym kontaktem seksualnym, kiedy wiadomo, że to wierutna bzdura. Ale nigdy nie przypuszczałem, że jesteś w stanie tak łatwo stracić głowę dla byle kogo.

ZAKOCHANA: Wcale dla nikogo nie straciłam głowy. Po prostu poprosiłam go o autograf.

ZAKOCHANY: Tak, oczywiście, po prostu poprosiłaś go o autograf!... Od czegoś trzeba zacząć, przecież nie pójdziecie od razu do łóżka.

ZAKOCHANA: Ojej, nic się przecież nie stało, nawet mi tego autografu nie dał.

ZAKOCHANY: Bo byli ludzie.

ZAKOCHANA: Ty głuptasie! (*burzy mu włosy*)

ZAKOCHANY: (*odsuwa się*) Oczywiście, że jestem głuptasem. Gdzie tam mnie porównywać z wirtuozem.

ZAKOCHANA: Uroczyście otwieram ceremonię duszenia Desdemony. Osoby o słabych nerwach proszone są o zasłonięcie oczu.

ZAKOCHANY: Co też wy takiego widzicie w tych artystach! Rozum wam odbiera czy co? Całkiem jakby mieli po dwie głowy!...

ZAKOCHANA: Ojej, przestań! (*próbuję go objąć*)

ZAKOCHANY: (*odsuwa się*) Jakby to były nie wiem jakie cuda! Nie widzicie, że są puści, próżni, nie mają żadnego życia wewnętrznego, żadnego moralnego credo... I poza tym kochają wyłącznie siebie. Tak, wyłącznie siebie, nie są



zdolni do żadnej innej miłości. „Sztuka!...” „Powołanie!...” Ale w końcu zgodził się grać, czemu nie. „Strzeliste świątynie!”... Jeszcze trochę, a pójdzie grać po weselach i chrzcinach. Jeśli już tego nie robi! Wirtuoz, myślałby kto!...

ZAKOCHANA: Przestań! (*próbuję go pogłaskać po głowie*)

ZAKOCHANY: (*nerwowo się odsuwa*) Ale oni są sławni!... Wszyscy ich znają!... Oni grają dla króla Belgii z małżonką!...

ZAKOCHANA: (*naciska mu pieśczołtliwie nos*) Nie trać do reszty rozumu, zostaw trochę na po ślubie. Będziesz miał dość czasu.

ZAKOCHANY: Wirtuoz, myślałby kto!... A może on wcale nie doprowadził do łoża Orazio Frugoniego!... Kto wie? Może temu Frugoniemu po prostu coś wpadło do oka. Może krajał cebulę!....

ZAKOCHANA: (*parska śmiechem*) Na koncercie?... W operze królewskiej?... Myślisz, że krajał tę cebulę w łoży? Czy w czasie przerwy?... (*ciszej, serdecznie*) Proszę cię, nie bądź niemądry, przecież widzisz, że nic się nie dzieje, jesteśmy razem, ty i ja, we dwoje... daj spokój...

ZAKOCHANY: Nie jestem niemądry, po prostu... (*patrzy jej w oczy*)

ZAKOCHANA: Wiem. Właśnie dlatego daj spokój. Nic teraz nie mów, zamknij usta i połóż rękę tutaj, o, tutaj... (*opasuje się jego ręką w talii*) Tylko nie przesuwaj... O, tak jest dobrze...

*W autobusie zapada cisza, którą nagle przerywa straszny huk, autobus podskakuje, lampy na chwilę gasną, wszystkich oślepiają reflektory, potem lampy się zapalają i słychać warkot oddalających się ciężarówek... Część pasażerów pospadała z siedzeń, teraz wstają i ponownie się lokują się na swoich miejscach.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Dosłownie się otarł!...

KOBIETA: Myślałam, że to już koniec – wtedy, kiedy podskoczyliśmy w górę.

NIEROZSĄDNY: Najważniejsze, żeby nie podskoczyć w dół. (*pokazuje spadanie w przepaść*)

ROZSĄDNY: Co się odwlecze, to nie uciecze.

MĘŻCZYZNA: Skąd pan taki pewny?

ROZSĄDNY: Nie możemy mieć ciągle szczęścia. Wcześniej czy później szczęście każdego opuszcza.

MĘŻCZYZNA: Ale na razie jeszcze je mamy.

ROZSĄDNY: Nie jestem przyzwyczajony liczyć na szczęście. Może zniknąć wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebne.

NIEROZSĄDNY: Święta racja. Powinniśmy rządzić przyrodą, a nie modlić się do niej.

NIEODPOWIEDZIALNY: Patrzajcie no, jak ten klucz francuski poukładał facetowi w głowie.

NIEROZSĄDNY: To nie klucz francuski, tylko światopogląd.

NIEODPOWIEDZIALNY: Światopoglądem cię grzmotnęli, człowieku?

ROZSĄDNY: Wybrał pan najmniej odpowiednią porę na żarty.

MĘŻCZYZNA: Za pomocą śmiechu człowiek żegna się ze swoją przeszłością.

ROZSĄDNY: Czasem może się też pożegnać ze swoją przyszłością.

KOBIETA: Nie rozumiem, do czego to ma być aluzja. Proszę nie zapominać, że ten pan uczestniczył...

ROZSĄDNY: Droga pani, wszyscy wiemy, w czym uczestniczył. Sytuacja nasza wymaga jednak nie żartów, lecz pracy. Inaczej rzeczywiście pożegnamy się ze swoją przyszłością. Jeszcze parę takich skoków jak przed chwilą i koniec. To mimo wszystko nie jest kangur.

NIEROZSĄDNY: Absolutnie się zgadzam.

ROZSĄDNY: Nawet jeśli na nic nie wpadniemy, to się rozpadniemy na czynniki pierwsze. Dlatego proponuję, żebyśmy rozwiązali problem w inny sposób.

KOBIETA: W jaki?

NIEROZSĄDNY: Ja jestem „za”.

ROZSĄDNY: To, czego nie była w stanie osiągnąć muzyka, może osiągnąć kobieta.

MĘŻCZYŻNA: W jakim sensie?

KOBIETA: Wykluczone!...

NIEROZSĄDNY: Ja jestem „za”.

ROZSĄDNY: Chodzi mi o to, że drogą czysto duchowego, emocjonalnego obcowania, tylko poprzez wymianę fluidów, kobieta byłaby w stanie sprawić, by kierowca zawrócił autobusem do miasta albo przynajmniej pozwolił nam wysiąść.

MĘŻCZYŻNA: Chce pan powiedzieć, że powinniśmy wysłać do niego kobietę?

ROZSĄDNY: Innego wyjścia nie ma.

MĘŻCZYŻNA: Mowy nie ma! Wybijcie to sobie z głowy!

ROZSĄDNY: Tylko że tu nie chodzi o pana... koleżankę szkolną. Tutaj potrzebny jest ktoś bardziej... jak to powiedzieć... bardziej... (*jest skonfundowany*)

KOBIETA: (*urazona*) To ja nie jestem „bardziej”, tak?

ROZSĄDNY: Skąd, nie miałem zamiaru powiedzieć, że pani nie jest, wprost przeciwnie, moim zdaniem pani jest nawet bardzo „bardziej”, ale w tym wypadku, sama pani rozumie... Chodziłoby o jeszcze „bardziej”!...

KOBIETA: (*do Mężczyzny*) Siedź cicho.

ROZSĄDNY: Rozumie pani, do nawiązania początkowego kontaktu są potrzebne kobiety bardziej... kontaktowe... W tym momencie nie zwraca się uwagi na bogatą psychikę, na intensywne życie wewnętrzne, na wartości duchowe... jakie to cechy pani niewątpliwie posiada...

KOBIETA: Uważa pan, że jestem brzydka??!!!

ROZSĄDNY: Boże! Cóż pani mówi? Byłbym jak najdalszy...

KOBIETA: Tak? A kto mówił, że mam bogate życie wewnętrzne? Wie pan, kiedy się takie rzeczy mówi? Kiedy kobieta wygląda jak pieróg. Wszyscy wtedy wychwalają nadzienie.

ROZSĄDNY: Mnie osobiście pani się bardzo podoba, najsolenniejszą panią zapewniam, słowo honoru! I w dodatku...

MĘŻCZYŻNA: Zaraz, zaraz! Jeszcze trochę i na moich oczach wyzna jej pan miłość!... (*do Kobiety*) A więc te wszystkie kłamstwa, które o tobie opowiadałem, to prawda?

KOBIETA: Czemu on mnie obraża? Może nie jestem Claudia Cardinale, ale nie pozwolę sobie wmawiać intensywnego życia wewnętrznego! Intensywne życie wewnętrzne mają kobiety powyżej sześćdziesiątki!...

ROZSĄDNY: Proszę pani, ja byłbym nawet gotów prosić, żeby to pani tam poszła, ale ponieważ przewidywałem gwałtowny opór pani ... kolegi szkolnego...

MĘŻCZYŻNA: Nie wiem, po co mielibyśmy ciągnąć tę bezsensowną rozmowę. Ta pani nie pójdzie!... Chyba, że po moim trupie!

ROZSĄDNY: Jeśli zginiemy, to wszyscy. I dlatego trzeba kogoś natychmiast tam posłać. (*wskazuje na kabinę kierowcy*)

MĘŻCZYŻNA: Kogo?

ROZSĄDNY: (*pokazuje w stronę Zakochanych*) Tę dziewczynę.

NIEROZSĄDNY: Ja jestem „za”. To bardzo dobra propozycja.

NIEODPOWIEDZIALNY: Niezła sztuka.

MĘŻCZYŻNA: Jeśli chodzi o dziewczynę, to zgoda.

PANCZAREWO: Czekaćcie no!... Czy też wam się to nie widzi jakby...

ROZSĄDNY: Nie widzi. Działamy w obronie własnej. Poza tym nie pojmuję, co by tu mogło budzić zastrzeżenia: przyjacielska, sympatyczna rozmowa, parę miłych spojrzeń... To wszystko. Kierowcy nie są ludożercami.

NIEROZSĄDNY: A chłopak?

ROZSĄDNY: Wytłumaczy mu się. Musi zrozumieć odpowiedzialność, jaka na nim spoczywa, na nim i na jego dziewczynie. Z nas wszystkich wybraliśmy właśnie ich. To nie byle co.

NIEROZSĄDNY: No to wołajmy ich.

ROZSĄDNY: Proszę bardzo. (*poprawia krawat, przeciera okulary*)

*Nierozsądny podchodzi do tylnego siedzenia, mówi tam coś do Zakochanych i we trójkę idą ku środkowi autobusu. Wyciemnienie. Kiedy robi się jasno, Zakochani stoją wyprostowani na dwóch różnych siedzeniach, rozdzieleni przez pasażerów, którzy są między nimi, ale na dole, na podłodze. Zakochani są oburzeni, wściekli, gotowi na wszystko. Zakochany trzyma w ręce pustą butelkę po śliwownicy, którą miał Nieodpowiedzialny. W następnej chwili z rozmachem tłucze ją o oparcie siedzenia. W ręce pozostaje mu wyszczerbiona połowa butelki.*

ZAKOCHANY: (*krzyczy*) Nie ważcie się jej dotknąć! Kanalie!... Wypruję flaki pierwszemu, który jej dotknie!...

ROZSĄDNY: Nie rozumiem, po co te emocje. Chodzi o najzwyczajszą rozmowę.

ZAKOCHANY: To niech pan sam idzie rozmawiać!

ROZSĄDNY: Ta rozmowa powinna być... przyjemna, sam pan rozumie, młody człowieku. Czysto ludzka, sentymentalna, kobieca rozmowa.

ZAKOCHANY: Nic mnie to nie obchodzi. Pierwszy, który ją dotknie, zapłaci za to gardłem!

ROZSĄDNY: Nie może pana nie obchodzić. Pan też jest częścią tej społeczności. Mamy wszyscy wspólne problemy.

ZAKOCHANY: I chcecie je rozwiązać naszym kosztem, tak?

ROZSĄDNY: (*wskazuje na Wirtuoza*) Kiedy ten pan siedł przed chwilą mu zagrać, to nawet nie wspomniał o kosztach.

ZAKOCHANY: Jego sprawa. Łapy przy sobie, bo inaczej wszystkich wypatroszę.

NIEODPOWIEDZIALNY: Co go będziemy słuchać, i tak jasne, jak słońce, że to zerowy poziom świadomości. Dziewczyno, chociaż ty bądź mądrzejsza, sama widzisz, co się dzieje, poszłabyś na chwilę, korona ci z głowy nie spadnie...

*Nieodpowiedzialny chce ją schwycić za rękę. Zakochana wyszarpuje ją. Zakochany w okrzykiem „Ani mi się waź!” skacze przez siedzenie z butelką w ręku i rzuca się na tamtych dwoje. Próbują go zatrzymać, przekonać, następuje ogólna kotłowanina... Pierwszy ze stosu splątanych ciał wydobywa się Zakochany i z powrotem wskakuje na swoje miejsce. Przed Zakochaną stoi Rozsądny i pozostali pasażerowie, podnoszący się już z podłogi. Zakochany wskoczywszy na siedzenie stoi tam z butelką w ręce. Znow jest oddzielony od Zakochanej.*

ZAKOCHANY: Przetnę sobie żyły! Jeśli jej tylko dotkniecie, przetnę sobie żyły!... (zawija rękawy)

ROZSĄDNY: (zmęczonym, pełnym goryczy głosem) Trochę tu za dużo emocji. To nikomu nie przynosi pożytku. Może pan wyrzucić tę rozbitą butelkę, nie będzie panu potrzebna. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, a nie żadnymi dzikusami. Nie zjadamy młodych dziewcząt. Z tymi żyłami nie ma się co śpieszyć – za chwilę mogą zostać przecięte i bez pomocy butelki: jak pan widzi, w autobusie jest wystarczająco dużo szkła. (Zakochany mimo woli rozgląda się) Myśleliśmy, że jako młodzi ludzie zrozumiecie wagę problemu i pomożecie nam go rozwiązać. Nic nie zrozumieliście. Nie potraficie wyjść poza wasze malutkie, wygodniutkie sprawy. Poza waszą malutką, ciepłą miłość. Byliśmy przekonani, że jak legendarny Danko wyrwiecie z piersi serce i uniesiecie je wysoko, by siało blask i ratowało ludzi. Tymczasem wyście się rzucili do wrywania naszych serc. Byliśmy gotowi przysiąc, że pan kocha ludzi, że jest

pan dla nich gotów do bohaterstwa, chociaż co to za bohaterstwo – zgodzić się, by twoja dziewczyna porozmawiała ze zwykłym, spracowanym człowiekiem, który już od tylu godzin siedzi za kierownicą. Okazało się, że nie kocha pan ludzi. Myśleliśmy, że jest pan zdolny także do innych, szlachetnych i wzniosłych uczuć. Nie jest pan zdolny. Co robić, bywa i tak. Może po prostu coś w pana twarzy wprowadziło nas w błąd. (*wciąż tak samo rozczarowany i zrezygnowany, milknie*)

ZAKOCHANA: I pan myśli, że on pana posłucha?! Że weźmie się na takie gadanie?... Myślicie, że jego miłość jest taka jak wasza?... Cóż wy wiecie o miłości? Wy, nie widzący świata poza walką o to, kto komu podłoży większą świnię, kto pierwszy się dopcha do stołka!... Wy, którzy udajecie szlachetność i zaangażowanie, którzy po mistrzowsku żonglujecie wielkimi słowami, czemu nam teraz nie powiecie, że powinniśmy to zrobić dla ojczyzny, dla narodu, dla całej postępowej ludzkości!...

WIRTUOZ: (*próbując ją powstrzymać, podchodzi do niej*) Spokojnie, spokojnie, proszę się opanować!

ZAKOCHANA: Wy, specjaliści od wzniosłych słów, którzy wygłaszacie do nas kazania, a zaraz potem wspinaliście się z butami w rękę po skrzypiących drewnianych schodach na jakieś zakazane poddasze i pchaliście się ze swoimi wielkimi brzuchami do miękkich łóżek waszych młodych kochanek.

MEŻCZYŻNA: (*zrywa się i woła*) Dość! Dość! Łatwo ci tak mówić dzisiaj, kiedy nie masz rodziny, ale ciekaw jestem, co byś powiedziała jutro, jak wyjdiesz za mąż!

ZAKOCHANA: Wy, puści, kartonowi, malowani ludzie! I myślicie, że on was posłucha?! Że wam uwierzy! Że on jest taki jak wy?!... Nie rozśmieszajcie mnie!... Wcale nas nie znacie. Z twarzy – tak, może nosimy nawet wasze nazwiska, ale tylko tyle. Co wy wiecie o miłości!... Wy tylko czytaliście książki i oglądaliście filmy o miłości!... Ale nigdy, nigdy nie kochaliście tak naprawdę, mocno, uczciwie!

NIEODPOWIEDZIALNY: Co nam tu bredzisz o miłości, kiedy tylko patrzeć, jak polecimy w przepaść!... Słyszysz?! W przepaść!

ZAKOCHANA: To polecimy! Tym lepiej! Co komu z życia, jeśli jego miłość jest martwa, jeśli od niego uciekła, jeśli człowiek jest sam. Po co wtedy żyć?... Nawet drzewo, z którego opadły liście, żyje oczekiwaniem wiosennych ptaków, a jak ma żyć człowiek, którego opuściła miłość?

NIEODPOWIEDZIALNY: *(do Zakochanego, poważnie)* Posłuchaj no, chłopcze. Dziewczyn na tym świecie od groma. Autobus się rozpieprzy w drobny mak, ale ona wyjdzie z tego nietknięta, zawsze tak jest, znajdzie sobie innego, a tymczasem ty... Skromny wieniec, „dobry z niego był chłopak” i tyle. Ona będzie dalej żyć, przyjaciele cię pozapominają, a na tobie trawka wyrośnie i w rocznicę ktoś zapali świeczkę. Tak to wygląda, bracie, wiem coś o tym. Nie tak, jak w kinie. Możesz robić, co chcesz – zgadzać się, nie zgadzać, kochać, nie kochać – i tak koniec końców rzucą cię w diabły. W diabły, rozumiesz? Wszystkie!... Nie ma żadnego „na zawsze”. Na zawsze to może być tylko ta trawka i może jeszcze świeczka na rocznicę. Słuchaj, co ci mówię. Ta butelka, którą trzymasz, jest moja. Pytasz mnie, czemu piję, a nie wymachuję nią tak jak ty? Może myślisz, że przed tobą nikt nigdy nie kochał?... Zrozum, chłopcze, nigdy nie ma „na zawsze”!...

*Zakochany stoi zamyślony, opuściwszy rękę z butelką, najwyraźniej słowa Nieodpowiedzialnego zrobiły na nim wrażenie.*

ZAKOCHANA: Nie wierz im! To nieprawda!

ROZSĄDNY: *(cicho, z bólem)* To prawda! Prawda! Niestety współczesna kobieta nie jest tym, czym była kiedyś – matką, żoną, bojowniczką o wolność, co to i sztandary szyla dla powstańców, i walczyła z bronią w ręku, i suchary szykowała... Wyemancypowała się dzisiejsza kobieta, uważa, że jest rzeczą najnormalniejszą w świecie zdradzać męża dwa razy w tygodniu, że to taka



rozrywka kulturalna, relaksowe spędzenie czasu. Potem się oczywiście rozwodzi, zabiera mieszkanie, zabiera dzieci i wyrzuca cię na ulicę, żebyś tam sobie rozmyślał o przewrotności żywota.

ZAKOCHANA: Marnuje pan tylko czas.

ROZSĄDNY: Louis Pasteur sam sobie szczepił szkodliwe zarazki, ale robił to po to, aby wypróbować wirus i uratować ludzkość. A pan? Jest pan jeszcze młody, co pan takiego zrobił? Co pan studiuje?

ZAKOCHANY: Architekturę.

ROZSĄDNY: Gdzie są budynki, które pan zaprojektował? Gdzie te pałace? Gdzie nowe, niespotykane dotychczas kształty i sylwetki? Gdyby Le Corbusier jako student przeciął sobie żyły, nie byłoby dzisiaj kaplicy w Ronchamp, nie istniałoby przepiękne osiedle pod Marsylią i ludzie nie mieszkaliby po nowemu i nie modlili się po nowemu. Świat byłby uboższy bez Saint André des Justes!...

ZAKOCHANA: *(krzyczy)* To nie ma nic wspólnego! Wprost przeciwnie!

ROZSĄDNY: A co to znaczy miłość? Patrzeć sobie w oczy? Trzymać się za ręce, aż całkiem spotnieją? Czy miłość to nie znaczy zrobić coś dla ludzi, coś dla innych? Czy to właśnie nie jest godne prawdziwego człowieka, prawdziwego mężczyzny?

ZAKOCHANA: *(krzyczy do Zakochanego)* Słowa, tylko słowa!

ROZSĄDNY: I czyżby tylko jedna, jedyna kobieta miała być całą miłością? I czy właśnie ta? Jesteśmy tego pewni? I kiedy w ogóle możemy być pewni?

NIEROZSĄDNY: Zęby ma jakby krzywe. No sam pan popatrz! *(Zakochany mimo woli patrzy)* Włosy też mogłaby mieć ładniejsze.

NIEODPOWIEDZALNY: Na włosach to ja się nie znam, ale ten głos... Niech ja skonam, jeśli to ma być głos młodej dziewczyny.

NIEROZSĄDNY: Nie chcę się czepiać, ale... przecież ona w ogóle nie ma biustu!

*Zakochany odruchowo lustruje wzrokiem powierzchowność Zakochanej.*

ZAKOCHANA: *(do Zakochanego)* Nie słuchaj ich! Zatkaj sobie uszy!

NIEROZSĄDNY: A nogi? Chodzić na tym od biedy można, ale... poza tym...  
*(kręci sceptycznie głową)* Zobacz pan sam!...

ROZSĄDNY: Cynik! Niech pan natychmiast umilknie! *(do młodych, ojcowskim tonem)* Macie przed sobą wspaniałą przyszłość. Ta butelka wcale nie jest potrzebna. Niech pan ją rzuci!...

ZAKOCHANA: Nie! Nie rzucaj!... *(nagle rzuca się ku oknu, wybija nogą szybę i chwyta za ramę)* Powiedz tylko słowo i skoczę! Oni nam nic nie mogą zrobić! Powiedz tylko słowo!... Nie rzucaj tej butelki!... Nie rzucaj!

*Wszyscy w napięciu czekają, co zrobi Zakochany.*

ZAKOCHANY: *(z wysiłkiem)* W gruncie rzeczy po co aż tak bardzo dramatyzować?...

*Zakochana patrzy na niego szeroko otwartymi oczyma. Zakochany odkłada powolnym ruchem butelkę i spogląda na nią.*

ZAKOCHANY: Sama powiedz, po co?... Chodź, usiądziemy!...

*Po czym powoli siada. Tylko Zakochana wciąż jeszcze stoi wysoko nad pozostałymi – blada, z zgryzionymi do krwi ustami i niewidzącymi oczyma.*

*Pauza.*

ROZSĄDNY: *(ojcowskim tonem)* Niechże pani też siądzie!... *(Zakochana ani drgnie)* Autobus trzęsie, można spaść, jeszcze się pani coś stanie.

ZAKOCHANY: Tak, rzeczywiście, zejdź, bo spadniesz. No, chodź!...

*Zakochana stoi wyprostowana, wpatrzona w przestrzeń gdzieś nad ich głowami, nic nie słyszy ani nie widzi.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Trzeba się czegoś przytrzymać. W takim autobusie trudno jechać na stojąco. *(jednocześnie chyłkiem się zbliża)*

ZAKOCHANY: Tak, chodź już.

ROZSĄDNY: Słusznie, niech pani zejdzie... o... o, tak! *(wraz z Nieodpowiedzialnym mocno ją chwytają i przenoszą na siedzenie)* Doprawdy nie pojmuję, na co były te wszystkie emocje. No co, już się pani uspokoiła?...

ZAKOCHANA: Tak.

ROZSĄDNY: To doskonale. To bardzo dobrze. Chociaż... nie powinniśmy się uspokajać, dopóki nasza sytuacja pozostaje niezmienną. A może by się jednak pani zdecydowała pójść? Uratuje pani dziewięć osób, to by było takie humanitarne... takie ludzkie... *(Zakochana milczy)* A więc?

ZAKOCHANY: Niech pan jej nie zmusza. Niech ona sama... zdecyduje... *(do Zakochanej)* Co do mnie, to jestem temu przeciwny, ale... W gruncie rzeczy decyzja należy do ciebie. Pomyśl, zastanów się... Ale ja... jestem kategorycznie przeciw.

ROZSĄDNY: A więc?

ZAKOCHANA: *(posłusznie)* Dobrze.

ROZSĄDNY: Wspaniale.

NIEROZSĄDNY: Oto wreszcie rozsądna decyzja.

MEŹCZYZNA: Brawo!...

ROZSĄDNY: Musi go pani tylko wprawić w dobry nastrój, jakoś na niego podziałać, wywrzeć wpływ... Jakieś zawieszenie głosu, jedno czy drugie spojrzenie, kilka słów, tylko kilka słów... Wielka jest siła kobiety, proszę pamiętać, bez kobiet jesteśmy niczym... No, komu w drogę... Powodzenia!...

*Zakochana patrzy w milczeniu na Zakochanego.*

ZAKOCHANY: Nie powinnaś się była zgadzać, ale skoro tak postanowiłaś...  
W gruncie rzeczy być może masz rację, ja nic nie mówię... Lekki uśmiech, jakiś zawieszenie głosu, jakieś spojrzenie... Ty to umiesz!...

*Zakochana w milczeniu, przejęta spoczywającą na niej odpowiedzialnością, poprawia włosy, patrzy w lusterko i zdecydowanym krokiem idzie ku kabinie.*

ROZSĄDNY: I uśmiechać, to ważne – jak najwięcej uśmiechu!...

*Zakochana odwraca się, kiwa posłusznie głową na znak, że zrozumiała i znika za zasłonką. W autobusie nastaje cisza. Po chwili zza zasłonki zaczyna dobiegać śmiech Zakochanej. Dźwięczy on kolejno w różnych tonacjach.*

NIEODPOWIEDZIALNY: Ciekawe, co im tak wesoło?

ROZSĄDNY: Żeby się tylko nie wystraszyła.

NIEROZSĄDNY: Skąd, to mądra dziewczyna.

MĘŻCZYZNA: Ma poukładane w głowie. Najlepszy dowód, jak nas przed chwilą obsztorcowała. Taki kierowca to jej guzik może zrobić!

KOBIETA: Nie przejmujcie się, kobiety są mądrzejsze od mężczyzn.

ROZSĄDNY: To rozsądna dziewczyna...

NIEROZSĄDNY: Święta racja.

*Śmiech Zakochanej nabiera szczególnej barwy, po czym stopniowo zamiera. Zapada cisza. Pasażerowie nad słuchują.*

ZAKOCHANY: *(wstaje, zaniepokojony)* Przestali się śmiać.

NIEODPOWIEDZIALNY: (*zagradza mu drogę*) Trudno, żeby człowiek bez przerwy chichotał.

ROZSĄDNY: Może akurat jesteśmy na trudnym odcinku drogi.

NIEROZSĄDNY: Poradzi sobie, to mądra dziewczyna.

ZAKOCHANY: Kiedy ja się boję o coś innego!...

MĘŻCZYZNA: Ależ chłopcze! On przecież prowadzi autobus!...

*Wszyscy jednak nadstuchują. Cisza. Śmiech dawno umilkł. Po chwili zza zasłonki wychodzi Zakochana. Dopina spódniczkę, po czym poprawia rozpiętą i rozchełstaną bluzkę. Milczy. Wszyscy patrzą na nią poruszeni, nic nie mówią. Ona też milczy, byle jak zapina bluzkę, poprawia potargane włosy, wciąga sweter. Patrzy na nich bez słowa. Wszyscy patrzą na nią w oczekiwaniu.*

ZAKOCHANA: Nic nie powiedziałam!... Nic z tych rzeczy, które kazaliście mi powiedzieć!... Tylko – żeby jechał szybciej! Żebyśmy jak najszybciej dojechali do Kopriwszticy! Powiedziałam mu, że uwielbiam szybką jazdę, ryzyko, pęd nad krawędzią przepaści. Że tak jeżdżą prawdziwi mężczyźni... Kocham cię, powiedziałam mu, już dawno się w tobie zakochałam, przez całe lato wyczekiwałam na przystankach. A potem pociągnęłam za zamek spódniczki!

ZAKOCHANY: (*krzyczy*) Kłamiesz! To nieprawda! Wymyśliłaś sobie to wszystko!

ZAKOCHANA: Powiedziałam mu, że jest męskim typem, dokładnie takim, jakich lubię, że właśnie tacy mężczyźni mi się podobają, twardzi jak z kamienia... (*pauza*) Nie mógł mi rozpiąć bluzki i guziki się pourywały... (*ostatnie zdanie mówi cicho, jakby coś sobie przypominając*)

ZAKOCHANY: (*cicho*) To nieprawda. To nieprawda, to jakieś twoje fantazje... to nieprawda.

ZAKOCHANA: (*cicho*) To prawda.

ZAKOCHANY: *(krzyczy)* Nie! Kłamiesz!... Mówisz tak naumyślnie, żeby mnie upokorzyć! Żeby mnie zranić, żeby się zemścić!... To nieprawda! Powiedz, że to nieprawda!... Powiedz, że kłamiesz...

ZAKOCHANA: Mówię prawdę. Właśnie tak postąpiłam. Obiecał jechać tak szybko, jak tylko będzie mógł. Przyjemnej podróży!...

*Idzie w tył autobusu i siada tam na zapasowym kole, leżącym na podłodze. Zapada cisza, w której rozlega się melodia wiolonczeli – gorzka, jesienna. Zakochany przechodzi od jednego siedzenia do drugiego i przekonuje pasażerów.*

ZAKOCHANY: To nieprawda... Ona fantazjuje... Wymyśla sobie różne rzeczy! To są po prostu jej fantazje... Zwykle fantazje!... Słyszycie? Fantazje... Ponieważ pasażerowie milczą, każdy wpatrzony przed siebie, po powtórnym obejściu wszystkich milknie i siada na jednym z siedzeń w samym środku autobusu. Dźwięczy melodia wiolonczeli, podobna do ludzkiego głosu, zamyślnego i smutnego, który pyta i nie znalazłszy odpowiedzi rozbrzmiewa dalej w ciszy autobusu.

ROZSĄDNY: *(do Zakochanej, wściekłym tonem, z takim gestem, jakby ją chciał spoliczkować)* Niczego nie umiemy doprowadzić do końca, zawsze w ostatniej chwili ktoś nawali... Nic ich nie obchodzi! Absolutnie nic!

PANCZAREWO: *(wstaje)* A czy ciebie coś obchodzi, ja się pytam? Inni ludzie ciebie obchodzą? O sobie umie myśleć, nie powiem, ale o innych? Cały wieczór go przecież słucham. I ani razu żem nie usłyszał: „Pójdę zrobić to i to”, albo „Chodźmy wszyscy zrobić to i to”. Gdzie tam! Ciągłe by tylko komenderował i wysyłał innych, żeby oberwali, żeby wybierali kartofle z ognia, bo własnych paluszków szkoda poparzyć. Ale skończy się tak, że wszyscy upieczemy się w tym ogniu na skwarki. Zapamiętajcie moje słowa.

ROZSĄDNY: Trzeba było samemu iść do kierowcy, zamiast mi tu teraz filozofować. Filozofować każdy umie.

PANCZAREWO: Tyżeś może chodził?

ROZSĄDNY: Tak jakbym chodził, wszystko przecież robiliśmy razem.

PANCZAREWO: Pewnie, przez cały czas robisz wszystko „Tak jakby”. „Tak jakbym” chodził, „tak jakbym” się zgadzał, „tak jakbym” się nie zgadzał... Ale iść gdzieś to jest jedno, a nie iść – całkiem coś innego.

NIEROZSĄDNY: Czyś ty się za bardzo nie zagalopował, chłopie?

ROZSĄDNY: No i znowu zaczynamy... Kiedy najbardziej potrzebne jest działanie, my się zaczynamy kłócić... Naprawdę nie wiem, jak sobie w tej sytuacji poradzimy.

ZAKOCHANY: *(który próbował wrócić do Zakochanej i został kategorycznie i definitywnie odepchnięty)* Jak? Po prostu niech każdy da kierowcy swój chleb! Chciał kupić trzy bochenki – tyle się przecież zbierze!...

ROZSĄDNY: Co? Oddać własny chleb?

MĘŻCZYZNA: Czyś ty na głowę upadł?

NIEODPOWIEDZIALNY: A w zęby chcesz?

KOBIETA: Ależ to bzdury!

ROZSĄDNY: Czy ty rozumiesz, co to znaczy?

ZAKOCHANY: Rozumiem. Ale musicie to zrobić! Innego wyjścia nie ma. Chyba sami widzicie?

KOBIETA: Jak to nie ma?

NIEROZSĄDNY: To mój chleb!

ROZSĄDNY: Skoro o tym mowa, to mogliśmy zebrać ten chleb już na samym początku, nie musielibyśmy przyjeżdżać aż tutaj. Ale kto się zgodzi oddać własny chleb?

ZAKOCHANY: W takim razie na nas wszystkich wkrótce wyrośnie trawa. Taka piękna, zielona łąka. Już widzę, jak latają nad nią motylki – siadają na panu,

potem na panu, potem na mnie, na pani, na nim... (*straszliwy hałas, zgrzyt, reflektory, wymijanie ciężarówki*)

ROZSĄDNY: No cóż? Sprawa jest jasna. Musimy zrobić składkę, to jedyne wyjście. Ode mnie macie pół bochenka.

NIEROZSĄDNY: I ode mnie pół.

MĘŻCZYŻNA: Zaraz, zaraz, tak do niczego nie dojdziemy. My też mamy pół, i od tamtego pana pół, to razem dwa. A trzeci bochenek skąd weźmiemy?

ROZSĄDNY: Ja nie mogę dać więcej niż pół. Jeśli każdy da połowę tego, co ma, to możemy zebrać i pięć bochenków. O, ten pan na przykład ma dwa. (*wskazuje Nieodpowiedzialnego*)

NIEODPOWIEDZIALNY: I co z tego, że mam dwa? Z jakiej racji mam dać cały bochenek tylko dlatego, że kupiłem dwa, a ty dasz pół?

MĘŻCZYŻNA: Kiedy nie wiadomo, kto ile kupił.

ROZSĄDNY: Jak to nie wiadomo? Ja mam jeden.

NIEROZSĄDNY: Ja też.

MĘŻCZYŻNA: Żeby była sprawiedliwość, to każdy niech wyciągnie chleb i położy go, o, tutaj. My mamy tyle. (*wyciąga dwa bochenki i kładzie je na siedzeniu*)

NIEODPOWIEDZIALNY: To jest mój chleb. (*pokazuje siatkę z dwoma bochenkami*)

NIEROZSĄDNY: A to mój. (*pokazuje*)

ROZSĄDNY: Mój bochenek jest tutaj. (*pokazuje wypchaną teczkę*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Zaraz, zaraz! Chwileczkę!... (*podchodzi do niego, otwiera teczkę i wyciąga dwa bochenki chleba*) To pańskim zdaniem ma być jeden bochenek?

PANCZAREWO: A narzeka na naród, że wciąż się stara kogoś okantować.

MĘŻCZYŻNA: Więc dobrze. Pomijając tę próbę wprowadzenia w błąd mamy w sumie siedem bochenków. Jeśli każdy da połowę z tego, co ma, to wychodzi... (*liczy*)... trzy i pół bochenka.



KOBIETA: Teraz znów o pół za dużo!...

MĘŻCZYŻNA: Ta-a-ak, nowy problem, teraz wychodzi o pół za dużo!... Co robić?

NIEROZSĄDNY: Ponieważ się okazuje, że moje pół bochenka jest zbędne, nie mam nic przeciwko jego wycofaniu. Robię to dla wspólnego dobra. *(bierze swój bochenek i próbuje się wycofać)*

ROZSĄDNY: *(łapie go)* Jak to dla wspólnego dobra? To jedni mają dać, a inni – nie? Nie zgadzam się. Ja w takim razie też nic nie dam. *(odbiera mu bochenek)*

*W milczeniu, szybko i precyzyjnie rozgrywa się swoista pantomima.*

*Nieodpowiedzialny wyrywa chleb Rozsądnemu, Mężczyżna*

*Nieodpowiedzialnemu, Mężczyżnie ponownie Rozsądny, Rozsądnemu Kobieta...*

PANCZAREWO: Nie rzucajcie się tak chlebem, ludzie, to grzech! Ady przestańcie!...

*Nikt nie zwraca na niego uwagi. Trwa milcząca kotłowanina. W którymś momencie Nierozsądny wyszarpuje bochenek z rąk Rozsądnego, odbiega daleko, prawie pod samą kabinę i woła:*

NIEROZSĄDNY: Czemu nie chcecie mi zostawić tej połowy bochenka?

Przecież potrzebne są tylko trzy. We wszyscy macie po dwa, a ja tylko jeden.

ROZSĄDNY: Dla zasady. Wszyscy jesteśmy równi. I wszyscy musimy dać równo. W ten sposób nikt nie będzie skrzywdzony. *(znowu wyrywa mu chleb)*

NIEROZSĄDNY: Jak to – ja będę skrzywdzony, zostaję tylko z połową bochenka.

*Nieodpowiedzialny wyrywa mu bochenek. Wirtuoz szybko odłamuje kawałek i zaczyna go żuć. Rozsądny odbiera chleb Nieodpowiedzialnemu, jemu z kolei Kobieta, Kobiecie Mężczyzna, który rozłamuje chleb na dwoje. Wszyscy szybko i w milczeniu odłamują po kawałku z obydwu połówek, aż w końcu w ręce Mężczyzny pozostaje tylko mały kawałek. Rozgląda się i podaje go Nierozsądnemu. Ten przez cały czas stał oszołomiony i w milczeniu obserwował, jak jego chleb znika w ustach i rękach pozostałych. Ci tymczasem zabierają z powrotem swoje bochenki chleba, leżące na siedzeniu, ze słowami:*

ROZSĄDNY: Skoro tak, to mogę nic nie dać.

KOBIETA: My tak samo.

NIEODPOWIEDZIALNY: I ja też.

*Nierozsądny stoi z kawałeczkiem chleba pośrodku autobusu i w milczeniu patrzy na pozostałych. Wszyscy są poodwracani do okien, plecami do niego, i w milczeniu żują jego chleb.*

NIEROZSĄDNY: Zasady! Takie są wasze zasady – odjąć człowiekowi chleb od ust! Dobrze, jedzcie, proszę bardzo, zatkajcie się tym chlebem! Napychajcie się węglowodanami, zdychajcie, skoroście tacy pryncypialni! W całej Europie ludzie jedzą na dzień po jednej cieniutkiej kromeczce, takiej cieniutkiej, że wszystko przez nią widać, a my w Bułgarii opychamy się chlebem do nieprzytomności!... *(wygłasza swój monolog przechodząc od jednego miejsca do drugiego, wreszcie siada na swoim. Pauza. I w tej pauzie rozlega się ironiczny głos Zakochanego)*

ZAKOCHANY: Pojęcia dotąd nie miałem, że chleb jest taki szkodliwy! Po tym wszystkim, co usłyszałem, to już jednej okruszyny do ust nie wezmę, choćby mieli powiesić!...

PANCZAREWO: Czekajcie no, skoro jeśli tak, to może go lepiej nie dawać świniakom?

ZAKOCHANY: Czego nie dawać?

PANCZAREWO: Chleba. Co go mam w worku. Paszy nie można nigdzie kupić...

*Wszyscy jak oparzeni zrywają się i podbiegają do niego.*

NIEODPOWIEDZIALNY: To w tym worku jest chleb? *(obmacuje worek)*

PANCZAREWO: No bo paszy nie można nigdzie...

KOBIETA: Niechże pana ucałuję! *(całuje go)*

ROZSĄDNY: No proszę, jaki jest nasz lud – kto chleb z sobą nosi, ten o niego nie prosi! *(ściska mu mocno ręce)*

NIEROZSĄDNY: Tradycja w narodzie nie ginie! *(poklepuje go po ramieniu)*

MĘŻCZYŻNA: Teraz już nie ma siły! Jesteśmy uratowani! Brawo!!! *(też go poklepuje)*

PANCZAREWO: *(nie rozumie)* A czemuż wy się tak cieszyacie?

NIEROZSĄDNY: Jak to czemu? Damy mu chleb *(pokazuje na kabinę)* i z głowy.

PANCZAREWO: Ale to jest chleb dla świniaków!... Kto wie, kiedy był pieczony!

ROZSĄDNY: Wszystko jedno. Najważniejsze, że to jest chleb.

NIEROZSĄDNY: Nic mu nie powiemy.

NIEODPOWIEDZIALNY: Pewnie, po co go obciążać nadmiarem informacji!...

PANCZAREWO: Coś mi się to nie widzi. Nie godzi się przecież tak człowieka oszukiwać!...

ROZSĄDNY: Nie przejmujcie się, dziadku, wszystko będzie dobrze, zostawcie to nam. Przecież to całkiem normalny chleb, z taką samą zawartością mąki, soli i wody, jak każdy inny.

PANCZAREWO: Jak ma być taki sam, kiedy go targam we worku!

ROZSĄDNY: Worek nie ma żadnego znaczenia. W tym przypadku stanowi on opakowanie. Formę. A ważna jest treść, nie forma. (*do Nierozsądnego*) Proszę wyjąć trzy bochenki.

PANCZAREWO: Ja tam się nie znam, ale powiadam, żeby go nie oszukiwać, to przecie grzech!

ROZSĄDNY: No, no, spokojnie, grzech to przeżytek... Kto pójdzie na ochotnika?

NIEROZSĄDNY: Może ja. Już dawno chciałem wykonać jakieś zadanie, zrobić coś pożytecznego.

ROZSĄDNY: Dobrze. Wie pan, co mu powiedzieć podczas wręczania, prawda?

NIEROZSĄDNY: Ma się rozumieć! (*bierze trzy bochenki i wchodzi za zasłonkę*)

*Pasażerowie wzdychają z ulgą, spokojniej moszczą się na siedzeniach.*

ROZSĄDNY: (*ocierając się chustką*) No, nareszcie! A ja już zacząłem tracić nadzieję!...

MĘŻCZYŻNA: Co za historia, całkiem jak w kinie! (*wzdycha z ulgą*)

KOBIETA: Niesamowite! (*poprawia uczesanie*)

PANCZAREWO: Nie trza go było oszukiwać, powiadam!...

*W tym momencie zza zasłonki wychodzi Nierozsądny. Jest kompletnie zbity z tropu, niesie z powrotem trzy bochenki chleba.*

ROZSĄDNY: Co się stało? Czemu pan to niesie z powrotem?

NIEROZSĄDNY: On nie chce chleba.

ROZSĄDNY: Jak to? Przecież szukał chleba?

NIEROZSĄDNY: Już nie. Mamę chcę zobaczyć, powiada, posiedzieć z nią, porozmawiać, żeby mi sosny zaszumiały, żeby owiało mnie sosnowe powietrze. Kopriwszticę chcę zobaczyć, stare domy, kamienne mostki, dziadkową szablę.

NIEODPOWIEDZIALNY: Masz tobie, szablę!... Skąd my mu teraz wytrzaśniemy szablę? Chleb już jest, o, proszę, cały worek.

*Pauza.*

KOBIETA: I co teraz?...

*W autobusie zapada dramatyczna cisza. Sytuacja jest ponownie napięta, nikt nie widzi żadnego wyjścia. Stopniowo narasta atmosfera rezygnacji, rozpaczy i strachu, trzeba znaleźć jakiegoś winnego. I tak się dzieje.*

NIEODPOWIEDZIALNY: *(do Rozsądnego)* To pan jest wszystkiemu winny! Mówił Panczarewo, żeby kierowcy nie oszukiwać, że to jest grzech, a ten na to, że grzech to przeżytek

MĘŻCZYZNA: I że worek to forma!

KOBIETA: Opakowanie!

NIEODPOWIEDZIALNY: *(wstaje i zakasuje rękawy)* A w ogóle to od samego początku gra nam pan tylko na nerwach! Ty nie uogólniaj, ty nie rób tego, ty nie rób tamtego... Rozumu nas będzie uczył!...

MĘŻCZYZNA: I jeszcze kapelusz sobie nałożył – taki ważny!

KOBIETA: I jeszcze pozwala sobie komenderować!

NIEODPOWIEDZIALNY: Zorientował się, że to chleb dla świniaków, dlatego go nie chciał wziąć. Głowę dam, że się kapnął.

ROZSĄDNY: Ale przecież sam wam powiedział, że nie chce żadnego chleba! Chce zobaczyć Kopriwszticę!

MĘŻCZYZNA: A może by wziął, gdybyśmy mu zanieśli inny chleb, nie taki dla świń!

NIEODPOWIEDZIALNY: Zaraz oddasz swój chleb, ty cwaniaku! Nie będziemy przez ciebie ginąć w po przepaściach! Daj chleb, to mu zaniosę. A nuż weźmie.

MĘŻCZYZNA: No, dawaj! (*sięga do teczki Rozsądnego*)

ROZSĄDNY: Ani się ważcie!

KOBIETA: Daj chleb!

NIEODPOWIEDZIALNY: Daj, bo inaczej...

ROZSĄDNY: (*osaczony ze wszystkich stron, staje na siedzeniu*) To jest mój chleb! (*przeskakuje na sąsiednie siedzenie*) A on i tak nie chce chleba!...

(*pozostali idą za nim*) Będę krzyczał!... Co to za metody!... (*ucieka*) Chicago!... (*biegnie przez cały autobus, przeskakując siedzenia*)

NIEODPOWIEDZIALNY: Stój!

KOBIETA: (*goniąc go*) Trzymajcie!

MĘŻCZYZNA: Chicago!... Widzicie go – Chicago!...

NIEROZSĄDNY: Stój! Stój!

ROZSĄDNY: Nie!... Ludzie!... Nie!... Bracia!...

PANCZAREWO: Ej, czekajcie no... Tak się przecie nie godzi!...

WIRTUOZ: Zapłacisz mi za wszystko, za moją sztukę!... (*goni go*)

*Widząc, że jest osaczony ze wszystkich stron, Rozsądny nagle wyrzuca teczkę z chlebem przez wybite przez Zakochaną okno. To ostatecznie wyprowadza prześladowców z równowagi. Nieodpowiedzialny wymierza Rozsądnemu okrutny cios w żołądek...*

ZAKOCHANA: (*krzyczy*) Nie! Nie! Przestańcie!...

*Cios posyła Rozsądnego do Mężczyzny, który silnym uderzeniem wtlacza go w ścianę autobusu, chwyta za klapy marynarki, rozdzierając je. Rozsądny wymyka się, ale trafia na Nierozsądnego, który potężnym uderzeniem przemieszcza go w przeciwległy kąt autobusu.*

ZAKOCHANA: Co wy robicie! Nie! Przestańcie! (*biegnie za Rozsądnym, próbując mu pomóc i powstrzymać bieg wydarzeń*) Nie!

*Wirtuoz wymierza mu nowy cios, pod wpływem którego Rozsądny zatacza się ponownie w głąb autobusu, skąd Zakochany straszliwym uderzeniem popycha go z powrotem na środek.*

ZAKOCHANA: Nie! Nie! Przestańcie! (*krzyczy, próbuje ich powstrzymać*)

*W środku autobusu Nieodpowiedzialny jednym ruchem odrywa rękaw koszuli Rozsądnego (marynarkę już dawno rozdarto mu w trakcie bójki) i kolejnym ciosem przemieszcza go pod samą kabinę kierowcy.*

ZAKOCHANA: Nie! Przestańcie! (*próbuje od tyłu chwycić Nieodpowiedzialnego za rękę, ale gdy ten odrzuca ją silnym ruchem, pada na podłogę w głębi autobusu*)

*Nieodpowiedzialny potężnym ciosem odsyła Rozsądnego z powrotem pod kabinę kierowcy, tam Rozsądny pada, wszyscy się na niego rzucają. Nieodpowiedzialny trzyma w ręce nadtłuczoną butelkę i szerokim zamachem wznosi rękę do ciosu... I na sekundę przed jej opuszczeniem autobus się nagle zatrzymuje: zgrzyt hamulców, trzask, bezruch. Działa to na rozwścieczonych pasażerów jak zimny prysznic. Też się zatrzymują, nieruchomieją... Rozglądają się...*

KOBIETA: (zdumiona) Zatrzymał się!

*Pauza, pasażerowie patrzą w okna.*

WIRTUOZ: Patrzy na nas!... (patrzą z kolei ku kabinie)

ZAKOCHANY: Dlaczego on tak na nas patrzy? (ze zdziwieniem, nie rozumiejąc. Pauza)

PANCZAREWO: Dlatego, że mało nie zatłukliście człowieka!

*Absolutna cisza, wszyscy, znieruchomiawszy, spoglądają po sobie. W tej ciszy rozlega się dźwięk zapuszczanego silnika, warkot...*

NIEROZSĄDNY: Zawrócił!... (pauza, wszyscy są nieruchomi)

*Potem powoli, cicho, bez słowa podnoszą się i wracają na swoje miejsca. Na podłodze zostaje tylko zmaltretowany, rozczochrany Rozsądny. Silnik równomiernie warczy. Po chwili Rozsądny także wstaje – w podartej na strzępy białej koszuli, z oderwanym rondem kapelusza, bez jednego bucika, obszarpany i zmaltretowany. Bojaźliwie przechodzi na środek autobusu na swoje miejsce.*

ROZSĄDNY: (cicho) Wracamy!... (siada)

*Wszyscy siedzą twarzami do publiczności, nieruchomo, patrząc na nią. Panczarewo wstaje, przechodzi do Zakochanej, która jeszcze siedzi na podłodze, w głębi autobusu, tam, gdzie ją popchnął Nieodpowiedzialny, i siada obok niej, na podłodze. Warkot silnika robi się coraz głośniejszy, głośniejszy, głośniejszy...*

*Kurtyna*